POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

LA POLOGNE EN LUTTE — HEBDOMADAIRE MILITAIRE — PRIX UN FRANC

Wychodzi co tydzień. *Dnia 24-go i 31-go marca 1940 r.* **Rok II. — Nr. 7 i 8.**

Nie ma śmierci w prawdzie

Tylko to jedno słowo: zmartwychwstanie, które stoi w kalendarzu na dzień dzisiejszy, które obwieszczono dziś we wszystkich kościołach ziemi — dorównuje w cenie słowu: ojczyzna. To jedno słowo w naszej mowie i żadne inne. I gdy mówimy jedno, znaczy drugie. Ojczyzna to jest właśnie to: droga od śmierci do życia, wzejście pod światło, apokaliptyczny ruch powstawania z grobu. Zmartwychwstanie to jest kraj, ziemia, niebo, powietrze — wszystko jedyne, jedynie możliwe, wszystko bez czego nie podobna żyć, żyć nie jest warto.

Nie mówiliśmy o ojczyźnie, gdy była. Trochę, że wstyd, trochę, że niedogoda. I słowo: z mar twych powstanie wydawało się kościelne, zbyt uroczyste, niedość zwyczajne, nie przystające do trzeźwości naszych czasów. Dziś mówimy je znowu. I wyrażamy jednym i drugim cały sens życia każdego z nas i nas wszystkich. Jest w nich cała prawda, jedyna prawda, dla której warto żyć i warto umrzeć.

Świętej wieści o Zmartwychwstaniu nie obwieszczono tylko w kościołach Polski, bo są zamknięte. Za słowo: ojczyzna wymierza się tam śmierć bez sądu i ostatniej pociechy. Ci, którzy znieważyli domy Pańskie i zamknęli je na głucho, ci, którzy wymierzają śmierć za słowo tak nieuniknione, jak oddech — myślą, że zabili prawdę, że ją nakryli grobem na wieki wieczne.

A ona, prawda, otwiera grób, powstaje z martwych i nazywa siebie imieniem ojczyzny. Kalekie, bezrękie drzewa w parku Skaryszewskim puszczają nowe witki. Woda odwilży zabliźnia rany lejów. Bolesnych ruin czepiają się wiotkie pióra trawy. Sasanki wygrzebują się z krwawej gleby i są białe. Ptaki obłąkane z lęku odnajdują w ściśniętych gardłach melodię istnienia. Ostrzelane z karabinów, osmalone wierzby wpodłuż dróg polskich obsypują się baziami.

Pada na najeźdźcę straszliwa katastrofa, której nie przewidział: Polska jest polska, Polska jest żywa.

Nieobjęte są granice tej klęski wroga. Oto zabijał daremnie Moc rozdartych mięśni krąży w słojach drzewnych, krew wysączona z ran odmieniła się w białość sasanek, w jasną zieleń piór trawy. Wszyscy umarli są żywi. Wszyscy umarli dołączyli do życia, dołączyli do trwania.

Kraj, w którym milczą złupione dzwonnice — dzwoni swoje Alleluja. Ziemia, jak święty Sebastian, tysiącem strzał przeszyta — powstaje z martwych. I ludzie, którzy zapomnieli uśmiechu, słuchają w niebie znów przychylnym muzyki życia, nie straszliwej muzyki zagłady, ludzie żałobni dotykają płatków białych sasanek. Myślą, czują słowo kosztowne, za które płaci się cenę życia: ojczyzna.

Zmartwychwstanie. To nie jest tylko słowo zbyt uroczyste, rzadko używane. To nie jest tylko święta, kościelna pamiątka. To jest prawda istnienia. I dla nas, którzy patrzymy w nią z brzegu rozbicia, którzy rozpamiętujemy ją na obcej ziemi — powstaje z tej prawdy wielkie wezwanie, wielkie napomnienie. Napomnienie do trwania i wiary.

Ile jeszcze wiosen dzielić by nas nie miało od Wielkiej Niedzieli Polskiej ,ile by jeszcze piekielnych jesieni nie trzeba było przejść, krwawiąc i kładąc się pokotem — będziemy trwać. Będziemy trwać żywi. I umarli dołączać będziemy do trwania.

Patrząc w tajemnicę tego święta, pojmujemy wzniosłe wezwanie do wiary w niezniszczalność prawdy. W niezniszczalność prawdy życia, narodu, ojczyzny. Można tę prawdę umęczyć, ukrzyżować, tysiącem strzał przeszyć, grobem przywalić i grobu strzec zbrojną strażą — a ona wstanie żywa. Można ziemię zryć tysiącem bomb, można ją zaścielić ciałami, jak liśćmi jesieni, a ziemia rozdarcia cierpliwie zabliźni i ciała, jak liście jesienne, odmienią się w sok żywy, krążący w drzewach, sok karmiący liście nowe, liście zielone.

Nauka tego święta odwraca porządek, który głoszą wrogowie. To nie my, ale oni są umarli, skazani na nicość. Bo my wierzymy, walczymy, gotowi jesteśmy zginąć za prawdę, za prawdę życia, za prawdę nieuchronną jak oddech, nieuchronną, jak zielenienie się drzew. Bo oni usiłują podtrzymać pod słońcem kłamstwo, któremu zaprzecza każda biała sasanka, wygrzebująca się z krwawej gleby, każdy ptak, przypominający sobie melodię istnienia.

Zapatrzeni w tamtą stronę, w tamtą wiosnę, w kraju, w tamtą białość sasanek, wsłuchani w muzykę tamtego nieba — mówimy bez wstydu słowo: zmartwychwstanie, mówimy słowo: ojczyzna ,które wolno nam mówić, za które wolno nam z dobrej woli, po żołniersku umrzeć.

Pochylamy się dziś w skupieniu w otwartych kościołach gościnnej ziemi wolnej, w których obwieszczono świętą wieść o Zmartwychwstaniu. Pochylamy się nad grobem pustym, z którego wstała światłość i objęła niebiosa. Pochylamy się nad grobem ojczyzny, aby wstała z naszej wiary, z naszej woli i z naszej walki, aby objęła niebiosa wolne i szczęśliwe. Łączymy się z umarłymi, którzy są żywi, z żywymi, którzy trwają. W tę Wielką Niedzielę modlimy się o Wielką Niedzielę Polską, wierzymy w Wielką Niedzielę Polską.

Bo nie ma śmierci w prawdzie.

Tymon Terlecki

Drodzy Bracia, Żołnierze!

Armia nasza jest symbolem niepodzielnej Polski walczącej o prawdę, sprawiedliwość i wolność. Rwie się do czynu i wyczekuje rozkazów. W szlachetnej niecierpliwości Waszej błogosławię Wam od serca i życzę Ojczyźnie naszej radosnego „Alleluja", rychłego wskrzeszenia.

Chrystus zmartwychwstan jest
Nam na przykład dan jest.

+ Józef Gawlina
Biskup pol. W. P.

WIELKANOC

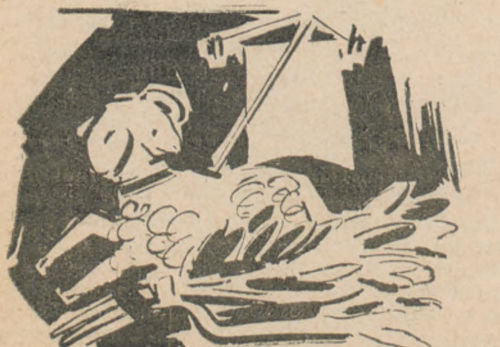
Droga, wierzbą sadzona wśród zielonej łąki,
Na której pierwsze jaskry żółcieją i mlecze,
Pośród wierzb, po kamieniach, wązka struga ciecze
A pod niebem wysoko śpiewają skowronki.

Śród tej łąki wilgotnej od porannej rosy
Drogą, którą co święto szli ludzie ze śpiewką
Idzie sobie Pan Jezus wpółnagi i bosy
Z wielkanocną, w przebitej dłoni chorągiewką.

Naprzeciw idzie chłopka. Ma kosy złociste,
Łowicka jej spódniczka i piękna zapaska,
Poznała Zbawiciela z świętego obrazka
Upadła na kolana i krzyknęła: „Chryste!"

Bije głową o ziemię z serdeczną rozpaczą
A Chrystus się pochylił nad klęczącym ciałem
I rzecze: „Powiedz ludziom, niech więcej nie płaczą
Dwa dni leżałem w grobie i dziś zmartwychwstałem".

Jan Lechoń





Zmartwychwstanie

Znowu musimy mówić o zmartwychwstaniu Polski. Dla tych, którzy poprzedniej wojny nie pamiętają, „zmartwychwstanie Ojczyzny”, to był temat akademicki. O tym się nie mówiło; to się wykładało, rozpamiętywało. Z końcem września ubiegłego roku młodzi Polacy, utraciwszy swoje narodowe szczęście, dopiero je poznali. Dopiero, kiedy z rumuńskiego brzegu rzeczki granicznej, czy ze słowackiej strony Tatr, spojrzał niejeden w stronę domu, zrozumiał co znaczy niepodległość i jaki związek historia ma z kolorem nieba i ze skurczem serca.

Ci, co noszą w pamięci poprzedni niewolny czas, czują się tak, jak gdyby wracali do ciężkiej choroby, z której rzekomo na zawsze ich wyleczono.

Dwadzieścia lat, to dużo w jednym pokoleniu. Dosyć aż nadto, by niektóre słowa przekreślić, by oduczyć się wielu póz i afektów. „Wznio sła ofiara” (sublime martyre) „przemoc dzikiego najeźdźcy” — takimi słowami gadały kiedyś majaki. Znienawidziliśmy ich napuszonej mowy. Po powrocie do zdrowia pokochaliśmy słowa pospolite, takie jak „posterunkowy”, „gość”, „facetka”, „D.O.K.” i „P.K.O.” Staliśmy się normalni.

Zapomnieliśmy, że przez sto lat z okładem szumiały nam u rękawów skrzydła, a wkoło lakierków plątały się łańcuchy. Że na teatrze świata role tuzinkowców były nam wzbronione: jedli, bili się i kochali inni — nas trzymano na scenie, abyśmy łykali trucizny, zstępowali pod ziemię, latali ptakiem, pełzali po wężowemu.

Wspomnijmy lata: 1794, 1831, 1863... Czyż nie dlatego nasze matrony chodziły wtedy w wiecznej żałobie, publicznie lejąc łzy, czyż nie dlatego Polaka ogień czyścowy za życia trawił, nie dlatego kibitki, katorgi, orły białe, krwawiące między sępami poniewierały się po rekwizytorniach europejskiego dziwowiska, że byliśmy naprawdę od innych inni, naprawdę egzotyczni, naprawdę gorsi, albo lepsi i niezrozumiali.

Wspomnijmy ówczesny świat. Przecież nawet narody i rządy najgoręcej nam sprzyjające, nie poczuwały się do solidarności z naszą krzywdą. Temat „słoń a sprawa polska” realniejsze posiadał brzmienie, niż n.p. „Anglia a sprawa Polska”.

Romantycy z za granic współczuli, utopiści wyznaczali nam miejsce na mapie księżycowej, intryganci podrzucali nasz kraj, jak fałszywą kartę, na stoły dyplomatów. Nikt jednak nie czuł się bratem Polaka, spadkobiercą tej samej fortuny, wspólnikiem rodzinnego losu.

Dzisiaj inaczej. Na nas pierwszych spłynęła lawa wielkiego kataklizmu. My sprostać musieliśmy pierwszym ciosom burzy. My — zwaleni przez dwustronną przemoc — chłoniemy najżarliwszą nienawiść wroga. Ale pół świata stoi obok nas w oczekiwaniu na ten sam kataklizm. Na piekło tej samej nienawiści. Klęska Polski przestała być sensacją obojętnych stolic. W roku 1940 Polska jest pierwszym kamieniem obronnym, który padł na szaniec między nieprzyjacielem ludzkości — a ludzkością.

Nie wygląda na przypadek, że pan Ribentropp zemdlał po rozmowie z papieżem. Może w obliczu Człowieka, któremu Chrystus zlecił rozwiązywanie i związywanie spraw ziemskich, wysłannik Nieprzyjaciela pojął nagle, co znaczy zmartwychwstać, co znaczy umrzeć na wieki ? I przeraził się dnia sądu, w którym pomordowani wstaną dać świadectwo prawdzie ?

W wieku XIX-ym nie my byliśmy dziwaczni i niezrozumiali. Niezrozumiała była ufność potentatów, że jeden naród, czy jedno społeczeństwo może rozegrać za wszystkie narody, wszystkie społeczeństwa symboliczną walkę słuszności z bezprawiem. Niepojęte było złudzenie, że pochód zła zatrzyma się na granicy państw potężnych. Że głód tyranii jedną ofiarą zaspokojony zostanie.

Jakkolwiek tragicznie wypadł epilog polskich walk o niepodległość w wieku XIX-ym, potężni nie przestali traktować go, jak sceny w teatrze — zjawiska, które w ich poważną bogatą rzeczywistość przesiąknąć nigdy nie zdoła. Przesada gestu, przerost słowa narzuciła wtedy polskim cierpiętnikom Europa krótkowzroczna i zarozumiała.

Dziś koniec, koniec spektaklu! Dziś nie ma w świecie sceny i widowni. Żałoba naprawdę oznacza śmierć, czerwień dla wszystkich jest kolorem krwi, zmartwychwstanie wszystkim zarówno — małym i ogromnym — przywodzi na myśl dzień sądu.

Pozwólcie, że powtórzę opowiadanie, zasłyszane od znajomego, który niedawno opuścił Warszawę.

Pewna staruszka, mieszkająca tam w śródmieściu, ma córkę na Żoliborzu. Tak się złożyły warunki, że codziennie, wśród najgorszych mrozów, musiała godzinami wystawać na placu Piłsudskiego w ogonie do biura przepustek, by pomóc tej córce w troskach gospodarskich. Któregoś dnia, dopchawszy się do Niemca, urzędującego w języku polskim, rzekła mu: „Panie jestem chora, siedemdziesięcioletnia, nogi już odmroziłam w waszych ogonach, dajże mi Pan przepustkę stałą”. Niemiec na to: „Nie mogę. Muszę na przepustce wystawić termin. Do którego chce ją pani mieć?” Staruszka bynajmniej nie popadła w namysły. Tak jak stała — zgarbiona, zwyczajna, wszelkiemu patosowi obca, do złośliwości nie skora — odpowiedziała Niemcowi: „Niechże będzie przepustka do tego dnia, kiedy nasi wrócą”.

Nie oznajmiła nic gromkiego, nie zrobiła wspaniałego gestu. Czyż jednak nie przemówiła o zmartwychwstaniu Ojczyzny? Czyż nie tę samą wyraziła wiarę co romantyczni wieszczowie? A jeżeli komukolwiek w Europie — po ludzkiej stronie szańca — wydały się śmieszne jej słowa, czyż swego śmiechu nie pomieszał ze łzami czułości?

Norwid w połowie zeszłego wieku napisał: „Europejczycy to mają wspólnego z Murzynami, że ze wszystkiego się śmieją, czego pojąć nie mogą”. O ileż więcej pojmują teraz, niż sto lat temu, kiedy jeden naród tylko rolę Baranka Bożego grał w teatrze świata !

Wielkanoc. Módlmy się na rezurekcji słowami warszawskiej staruszki: „Do tego dnia, kiedy nasi wrócą, daj nam przepustkę Panie...”

Maria Kuncewiczowa

WSZYSTKIM CZYTELNIKOM W WOJSKU I NA WYCHODŹSTWIE, WSZYSTKIM WSPÓŁPRACOWNIKOM W OBOZACH I POZA NIMI, WSZYSTKIM WIERNYM PRZYJACIOŁOM — REDAKCJA „POLSKI WALCZĄCEJ” PRZESYŁA NAJLEPSZE, NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE.



...Przy drodze między Limanową a Dobrym na kijaszku wysokim, siedział sobie Chrystus frasobliwy...

Wyrzezał Go nie wiadomo kto. Odkąd starzy ludzie pamiętają, to ów Jezusik słodki zawsze tam siedział pod daszkiem blaszanym.

Wyrzezany był z drzewa lipowego, jednak mimo daszku, deszcz i śnieg zalewał figurę Jezuska. Przez lata poczerniała i mchem zielonym zarastać zaczęła.



Siedział sobie Chrystusik, podpierał głowę ręką. Głowa bardzo ciążyła od smutków ludzkich codziennych, nie były to jednak smutki i przewiny ciężkie... ot, takie zwyczajne — smuciły tylko słodkie oblicze Jezusa.

Ale kiedy przyszła wojna i co dzień patrzył na rzeczy smutniejsze, straszliwie smutne, nie wytrzymał i zeszedł z pod blaszanego daszka i poszedł przez Kraj najsmutniejszy na świecie, co się Polska nazywa. KRYSTYNA KOPCZYŃSKA.

WALKA IDEI

Hasłem, które rozbrzmiewa się najczęściej na łamach pism i rozkazów chwilowych okupantów w Polsce, jest słowo: *„ausrotten”*. Wysiedlić, wypędzić, wyniszczyć społeczeństwo polskie. Precz z ziemi, którą uprawiał wielkopolski chłop przez dziesięć wieków istnienia Polski. Precz z domów, które budowały przed setkami lat ręce polskie. Precz z miast, które praca polska wzniosła na miejscu małych, zaledwie kilka domów liczących wiosek. Na każdym kroku, w każdym objawie życia na ziemiach umęczonego narodu — *jesteśmy świadkami brutalnej realizacji haseł, niegdyś Henryka Lwa i grafów niemieckich, później Krzyżaków, następnie Bismarka, a dzisiaj Hitlera.*

Jakżeż strasznie mylili się ci politycy, którzy wysuwali jeszcze niedawno twierdzenie, że nacjonal - socjalizm wyraża jakąś nową myśl, jakąś nową filozofię społeczną, opartą na zasadach poszanowania odrębności narodowej zarówno własnego narodu, jak i innych społeczeństw! *Jakżeż naiwnymi politykami okazali się ci wszyscy, którzy zagraniczną propagandę nazistowską brali za dobrą monetę!* Te wszystkie opowiadania o „świętej walce z komunizmem”, te wszystkie hasła krucjaty przeciwko „masonerii’, te wszystkie zasady „czystości rasy”, książki, broszury, przemowy, powódź artykułów — *to wszystko stanowiło jedynie dymną zasłonę słów, której celem było wprowadzenie w błąd* tylko, tak bardzo niesłusznie zwanych „polityków” i publicystów zagranicznych.

Albowiem tezy, które Hitler i jego ludzie przeznaczali na użytek własnego społeczeństwa — były zupełnie odmiene. *Formował je Hitler w „Mein Kampf”, gdzie całkiem jasno stwierdzał, iż „potrzebuje ziem wschodnich” a Polaków na nich mieszkających usunie siłą.* Z niemiecką dokładnością mówił i pisał o pochodzie na Wschód Rosenberg, a słowa jego powtarzali wszyscy najwybitniejsi dziennikarze nazistowscy. Kto miał uszy ku słyszeniu, a oczy ku patrzeniu, komu smród nazistowskiej propagandy nie odebrał zdolności logicznego myślenia — ten widział bardzo dokładnie, ku czemu zmierza nowy mistrz zakonu niemieckiego. I doprawdy trudno zrozumieć jakimi przesłankami kierowali się ludzie, którzy wbrew wszystkim faktom i przestrogom — chcieli widzieć w Hitlerze tylko „odrodziciela narodu niemieckiego”, tylko męża stanu, który urzeczywistniając wielką ideę narodową dąży jedynie i wyłącznie do zjednoczenia wszystkich Niemców, a nie chce i nie może wcielać do swego imperium ludów obcego pochodzenia. *Hitleryzm jest i był ruchem jak najbardziej zgodnym ze wszystkimi zasadami najbardziej bezwzględnego imperializmu niemieckiego.* Jest to nowy Zakon Krzyżacki, równie perfidny i równie potężny, zagrażający istnieniu nie tylko Polski, ale wszystkich wolnych ludów całej Europy. Jak usunąć ten cień, który legł nad światem i chrześcijaństwem?

Historia wskazuje ludziom te same obrazy i te same podobieństwa: ramy jej ulegają zmianie — lecz zostaje ustawicznie powtarzająca się treść dziejów. Widmo strasznego niebezpieczeństwa ze strony głównego wroga Polski, jakim zawsze byli i są do dzisiejszego dnia Niemcy — stawało już nieraz przed oczyma naszych przodków. Do całkowitej zagłady Polski przygotowali się już Niemcy na pięćset kilkadziesiąt lat przed Hitlerem. Oto jak charakteryzuje ówczesne czasy jeden z najsławniejszych historyków polskich, Szajnocha, we wstępie do swej pracy „Jadwiga i Jagiełło”:

„Mamy widok gwałtownej toni teutonizmu nad Polską. I nie tylko nad Polską, ale nad wszystkimi przyległymi krajami piętrzy się morze teutońskie, dawne niebezpieczeństwo słowiańskich brzegów. Odkąd pamięci ludzkiej, grozi ono wszystkim ludom wschodniej Europy, ale nigdy jeszcze nie wzbiła się nad nimi tak wysoka powódź niemczyzny, jak teraz. *Teraz, jak daleko przestrzeń słowiańska od Elby poza Wisłę i Dunaj, wszędzie morze teutońskie pokrywa bałwanami swymi ziemię; zatapia osiadłe na niej ludy.* W odległym Królewcu, siedziba niemiecka rycerzy miecza — w Malborgu pyszna stolica niemieckich rycerzy krzyżowych — w Morawach i czeskiej Pradze tron niemieckiej dynastii, zwierzchnich panów Śląska i Brandenburga — niemieckie grody na Spiżu, niemieckie rządy w miastach węgierskich, niemieckie saksońswo w Siedmiogrodzie. *Zewsząd teutonizmem oblana Ojczyzna Piastów o nadkruszonych brzegach gdańskich i śląskich.* Zewsząd biją w nią naniesione potopem niemieckim wody. Do wywalczonych pół wiekową pracą nowych Niemiec, między Łabą a Odrą, przybyć mają drugie nowe Niemcy daleko za Dunajem, Wisłą i Niemnem”.

Tak było w roku 1384, kiedy Jadwiga przybyła do Polski. Tak jest dzisiaj, w roku 1940, kiedy na skutek krótkowzrocznej polityki pozwolono rozróść się potędze niemieckiej do niesłychanych rozmiarów. Jednakowoż mądre, orle mózgi ówczesnych kierowników polskiej nawy państwowej, zdołały odwrócić wówczas niebezpieczeństwo klęski. W jaki sposób ? — *„Cały środkowo-wschodni europejski widnokrąg* — mówi Szajnocha — zmienił *się w jedną wielką linię bojową, na której w trzech różnych punktach uderza się równocześnie w teutonizm.* Uderza czym może. W coraz to widoczniejszych zarysach dojrzewa pomysł wielkiego, powszechnego oporu przeciw teutonizmowi...”

Praojcowie nasi przygotowywali się starannie do walki z siłą niemiecką. *Tworzyli ogromną koalicję, złożoną nie tylko z Polski, ale i Litwy, Rusi, Czech wciągając w nią, dzięki bardzo dobrze pomyślanym związkom dynastycznym nawet Węgry.* Z nadzwyczajną starannością przygotowano armię polską, ówczesne rycerstwo, do starcia z największą ówczesną potęgą Europy. I Grunwald nie był bynajmniej dziełem przypadku, ale dobrze przeprowadzonego ataku wojsk króle Jagiełły. *Przygotowała go przezorna, przewidująca, mądra polityka prawdziwych mężów stanu, polityka jagiellońska.*

Niestety, w roku 1939 zabrakło nam ludzi na miarę Zbigniewa Oleśnickiego i wodzów, jak Zawisza Czarny. Zapłaciliśmy za to bardzo a bardzo drogo. Lecz jedna przegrana kampania nie przesądza jeszcze o losach wojny. Zajęcie Warszawy przez Wielkiego Mistrza Nazistowskiego Zakonu — to jeszcze nie koniec. Do końca jeszcze daleko. Lecz właśnie dlatego musimy już dzisiaj zdać sobie sprawę z ogromu przykładu, jaki dał nam wiek XV-y, wiek jagielloński.

Reprezentuje on najlepiej polską linię państwową a zarazem i wielką ideę i wielkie posłannictwo dziejowe Rzeczypospolitej. Hasłu „ausrotten” — musimy przeciwstawić wielką myśl polską z przed pięciu wieków: *„wolni z wolnymi, równi z równymi”*. Precz z całym, nie mającym nic wspólnego z kulturą i tradycją polską, czadem nazizmu i rasizmu! *Hasłom niewoli i poniżenia człowieka, które przejawia się w totalizmie, brunatnym czy czerwonym — musimy przeciwstawić Wolność Polską.* Była ona olbrzymią siłą przyciągającą dawnej Rzeczypospolitej. Ta idea, te zasady wolności i demokracji, muszą stać się świetlanymi drogowskazami naszej przyszłości.*Idea jagiellońska, współpraca wszystkich wolnych ludów, od morza Bałtyckiego aż po Morze Czarne i Adriatyckie — musi stać się podobną zasadą dla Europy Środkowej, jak słynna teza Monroego wyznaczyła drogi rozwoju państw amerykańskich.* Najściślejsze współdziałanie z ludami, którym podobnie, jak nam zagraża imperializm germański — musi być hasłem naszej polityki. Stopionemu krwią i żelazem, ponuremu blokowi niemieckiemu — musimy przeciwstawić wielką koalicję wolnych ludów Środkowej Europy, związanych najściślejszym przymierzem z zachodnią i łacińską kulturą Paryża i Londynu, a da Bóg i włoskiego Rzymu.

W świecie dzisiejszym rozgrywa się wielki dramat Lycufera, odwieczna tragedia duszy ludzkiej, uginającej się w walce z materią, która znalazła nowe słownictwo i nowe hasła. Komunizm i hitleryzm chce zniszczyć wszystkie wartości ludzkiego ducha. Zbrodnicza ręka podpaliła świat. Przeszliśmy przez straszne cierpienia i Bóg jeden wie, jakie nas jeszcze czekają drogi. Lecz bądźmy spokojni i ufni. Nienawiść może spowodować nieszczęścia, które przerażają rozum ludzki i mrożą serca. *Ale nienawiść nie może zwyciężyć.* Nienawiść może burzyć — lecz nic nie tworzy. Tylko to wszystko, co ma swe źródła w wolności, sprawiedliwości i miłości — jest i wielkie i twórcze i spokojne.

Tadeusz Kiełpiński

Życzenia od francuskiego przyjaciela

Wierny przyjaciel Polski, Polaków i naszego pisma, świetny pisarz, nieporównany znawca polszczyzny i tłumacz dzieł literatury polskiej na język wielkiej literatury francuskiej, doktor filozofii uniwersytetu we Lwowie — nadesłał nam życzenia, które drukujemy z wdzięcznością i odwzajemniamy ze wzruszeniem.

Redakcja

* * *

Kochani żołnierze polscy,

Przesyłam Wam życzenia Wielkanocne, jak Wam przesłałem życzenia na Boże Narodzenie.

U Polaków, Włochów i wielu innych narodów, istnieje zwyczaj przesyłania sobie wzajemnie powinszowań, życzeń lub podarków z okazji tego wielkiego święta. Francuzi nie zachowali wprawdzie tych obyczajów, ale obchodzą Wielkanoc z taką samą radością co inni. Gotują jajka na twardo, które są symbolem urodzajności wiosny, zmartwychwstania przyrody, powstającej z grobu zimy. Małe dzieci taczają te jajka z pagórków, pokrytych świeżo zieleniejącą się trawą. Przypominam sobie moje dzieciństwo. Jajka, które dostawałem, nie wyrównywały słowiańskim pisankom artystycznym. Malowało je się proszkiem czerwonym czy białym, albo też maczało się po prostu w soku gruszy, dzikiego bzu albo cebuli.

Wspominam te jajka dziś, kiedy ludzie rzucają na pola bomby i granaty, dziś, kiedy zatruwają gazami żyzne łono ziemi.

My mali chórzyści, chodziliśmy gromadą po ulicach, śpiewając stare piosenki ludowe:

Alleluia, les choux sont gras
Monsieur le Curé n'en mangera [pas.

(Alleluja, Alleluja, kapusta jest [tłusta,
Alleluja, ksiądz proboszcz nie [weźmie jej w usta.)

Przedtym śpiewaliśmy w kościcie piękną pieśń francuską, którą się śpiewa zarówno w kościołach katolickich jak i protestanckich:

Fête des fêtes que ton soleil [est beau!

(O, święto świąt, jakże piękne [jest słońce Twoje!)

Wielkanoc jest świętem słońca i jasności. Misterium radości i nadziei tego święta jest głębszym jeszcze od misterium Bożego Narodzenia. Narodziny są rzeczą mniej zdumiewającą, aniżeli zmartwychwstanie.

Jestem przekonany, jestem pewny, że Polska znowu powstanie do życia.

Paul Cazin

Na przesilenie wiosenne

Po niebie gna tumany chmur,
Szalony wichr marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór,
Twój zimo strój lodowy.
W tych kłębach chmur, co [błyskawicą
Czerwone, gromem biją:
Zawitaj nam Dziewico,
Zawitaj nam Maryjo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi;
Że w grozie tej, jest pączek róż!
Lecz Matko, świeć tej łodzi —
Co z mórz się szałem grzmiącym [łamie;
O! gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącym daj Twe ramię,
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych [drzew,
Na wpół wygląda z pąków!
I ponad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków;
O! Maryo! Ty miłości zdroju,
Rolnika spełń nadzieje,
Niech Twoje nań w pokoju,
Błogosławieństwo wieje.

Dla wielu, wiesz — że wicher ten,
Jest innej wiosny zwiastun;
Że kości ich, na wieczny sen —
Grób, zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających,
Maryjo! Matko święta:
Z dusz w Ciebie ufających;
Zdejm całe ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez,
Na mogił smutnym polu;
W Twą pieczę weź: mirt, lilię, bez,
Posadzon ręką bolu.
Siej Maryo, Matko Ty boleści!
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści:
Podarki Twe wiośniane!

Karol Brzozowski

PRAWDA O MĘSTWIE POLSKIM

Pamiętnego dnia 1-go września 1939 roku, o godzinie 5,45 rano — spadły pierwsze bomby lotnicze niemieckie na ziemie polskie. O tej samej godzinie niezliczone hordy wraże napadły nasz kraj na całej granicy, począwszy od Wiżajn na północy, skończywszy na Jaworzynie w Tatrach. Lotnictwo niemieckie już w pierwszym dniu bombarduje szereg miast, miasteczek, wsi i osiedli. Tak jak w roku 1914 pierwszą ofiarą zezwierzęcenia niemieckiego padł Kalisz, tak w 1939 r. — Wieluń. Bombardowane są prawie wszystkie ważniejsze węzły kolejowe, mosty, szosy i ośrodki wojskowe. Transporty koncentracyjne, które od paru już dni dążyły na front, zostały z miejsca unieruchomione. Tu widzimy piechotę bez artylerii, tam znów artylerię bez piechoty, służby bez broni i bronie bez służby. Rozpoczęta w dniu 30-go sierpnia mobilizacja powszechna w całym kraju utrudniona, w wielu miejscach uniemożliwiona.

To, co zdążyło przybyć na front i stało już od kilku dni na granicy — bije się dzielnie *i tylko pod olbrzymią przewagą ognia i technicznej broni nieprzyjaciela cofa się krok za krokiem*. Tam, gdzie spotyka się nasza piechota z piechotą niemiecką — o cofaniu się mowy nie ma, nasze przeciwnatarcia i przeciwuderzenia prowadzone z niesłychaną brawurą zmiatają Niemców jak wicher, przewracający snopy na polu. Nie będę opisywał dziś, co się działo każdego dnia wojny. Pogoda sprzyjała Niemcom. Dzięki niej, rzucone w olbrzymiej ilości czołgi, przedostają się wszędzie, wymijają nasze linie obronne, znaczone nie betonem z cementu, lecz betonem miłości i oddania Ojczyźnie serc żołnierskich. W dalekich zagonach dezorganizują te masy potworów stalowych tyły nasze, utrudniają dowóz amunicji i żywności na front, ewakuację rannych, niszczą kraj, mordują ludność. Lawina bomb lotniczych dokonywa reszty. Pożoga wojny w ciągu kilku godzin objęła cały kraj, cały kraj krwawi się i pali.

Zostaliśmy napadnięci przez Niemców znienacka. W języku wojskowym nazywamy to, że zostaliśmy „zaskoczeni". Stało się to dlatego, że kierujący wówczas Polską ludzie nie wierzyli w możliwość tak nagłego i niespodziewanego wybuchu wojny. Nie wierzyli, że Niemcy, mimo ostrzeżeń i przestróg rzucą się zdradziecko na nas. Wiecie dobrze, z własnego, codziennego życia, co to znaczy być zaskoczonym. Człowiek, na którego ktoś znienacka napada, lub jakieś niespodziewane nieszczęście nań spada — nie ma czasu zastanowić się nawet, jak się bronić, jak odeprzeć nagle i niespodziewanie zjawiające się niebezpieczeństwo. Jeżeli zaskoczenie jest nieprzyjemne, a nawet bardzo niebezpieczne dla jednego człowieka, — o ile bardziej staje się niebezpieczne, jeżeli cały kraj, wszyscy obywatele od góry do dołu stają bezradni wobec ogromu nieszczęść i niebezpieczeństwa, które zjawiło się nagle.

Czy można było jednak dać się tak zaskoczyć? To pytanie oczywiście zada sobie każdy żołnierz, każdy Polak, ba, zadaje je nawet świat cały. Odpowiedź może być jedna, odpowiedź wypisana w naszym regulaminie wojskowym:

Dowódca może być pobity — zaskoczony nigdy.

Sąd o tej sprawie nie należy do nas, do żołnierzy. Osądzi winnych Polska — cały naród polski. Winni poniosą w swoim czasie najcięższą, ale aż nadto zasłużoną karę. Musimy wierzyć, że to się stanie, że sąd będzie sprawiedliwy, że nikt nie ujdzie z pod tego sądu.

Przejdźmy jednak do właściwego tematu. *Działania niemieckie w powietrzu i działania masy czołgów na ziemi — jakby odcięło od kraju Wojsko Polskie, walczące w najcięższych warunkach na froncie.* Walczyło tylko to, co było przed wojną przetransportowane na front. Walczyło tym, co miało przy sobie, gdyż dowóz z kraju stał się od pierwszego dnia prawie niemożliwy. Odwody nie mogące się zmobilizować i dojechać, nie mogły wesprzeć tych, którzy z bezprzykładną ofiarnością oddawali swe życie za kraj, w obronie Westerplatte, Pomorza, Częstochowy, i Krakowa. *Trzeba, abyśmy wszyscy wiedzieli, abyśmy o tym stale pamiętali, że ofiarność tych, którzy w tak ciężkich warunkach bili się na froncie była olbrzymia, bezprzykładna wprost w dziejach wojen.* Obowiązkiem naszym jest, abyśmy nigdy nie zapomnieli o tych wszystkich bezimiennych bohaterach, którzy w ciężkie dnie wrześniowe hojnie rzucali na ołtarz Ojczyzny swą krew i swe młode życie w warunkach często beznadziejnej walki.

W „Polsce Walczącej" co tydzień czytacie w „Księdze Bohaterstwa Polskiego" o kolegach swoich, którzy najpiękniej, najofiarniej zasłużyli się Ojczyźnie. Czytajcie te wiersze nabożnie, zapamiętujcie sobie te nazwiska, gdyż one was uczą, jak żołnierz polski na prawdę się bił. O wszystkich pisać nie możemy — nie znamy wielu nazwisk tych bohaterów, którzy oddali swe życie w nieznanych dla nas okolicznościach. Liczba ich jest ogromna. Nie tylko zwykły strzelec oddawał swe życie w ofierze. *Oddawali je wszyscy żołnierze, bez różnicy wieku, szarży i stanowiska.* Przypomnę Wam tu tylko bohaterską śmierć generała Włada, dowódcy 14 Dywizji Piechoty Wielkopolskiej, dywizji sławnej z wojny bolszewickiej, dywizji, której wszystkie sztandary pułkowe odznaczone zostały krzyżem „Virtuti Militari". Generał Wład na czele garstki żołnierzy, bronił się do ostatka w Puszczy Kampinoskiej pod Warszawą. Gdy mu Niemcy zaproponowali poddanie, odpowiedział:

„14 Dywizja zwycięża lub umiera".

Na czele nielicznych, pozostałych przy nim żołnierzy, rzuca się na bagnety i ginie z tymi ostatnimi najlepszymi, jak na oficera, jak na żołnierza polskiego przystało.

Takich dowódców mieliśmy więcej, dużo więcej. Będę Wam o nich kolejno opowiadał. *W wojnie tej poległo siedmiu generałów, ogromna liczba dowódców pułków, batalionów, kompanii, baterii, szwadronów, plutonów, i tysiące, tysiące strzelców, kanonierów i ułanów.*

Śmierć ich nie poszła na marne. Nie dane im było dokonać więcej. W granicach swoich możliwości i swego obowiązku zrobili wszystko. Z poprzedniego mego opowiadania wiecie, iż „wrzesień nie poszedł na marne".*) Niemcy, dzięki olbrzymim stratom poniesionym w walkach z nami, nie mogli ani zataić, ani ukryć postawy i bohaterstwa naszego żołnierza. W swoich książkach o ostatniej wojnie przyznają się do tego otwarcie. Bo jakby mogli wytłumaczyć wobec swego, do reszty ogłupiałego społeczeństwa te tysiące mogił rozsianych po całej Polsce, te dalsze tysiące kalek, które dziś w ich kraju się znajdują.

Przytoczę Wam parę cytatów, z książki zatytułowanej „Kampania w Polsce", wydanej przez Niemców, gdzie nie mogąc ukryć prawdy, tak piszą o postawie Polaków:

Str. 18. „Silniejsza jest obrona w twierdzach (mowa o Grudziądzu, Toruniu i Bydgoszczy). *Dzielnie broni się Polak, który tylko niechętnie ustępuje w terenie".*

Str. 20. „Bitwa o Grudziądz była ciężka i zażarta".

Str. 21. „Mimo najzaciętszej obrony udaje się pionierom (niemieckim) rzucić most pontonowy na Wiśle".

Str. 22. „Pruska grupa operacyjna odpiera w bardzo ciężkich walkach nieprzyjaciela pod Przasnyszem i Mławą".

Str. 23. „Częstochowa stawia bardzo zacięty opór (oddziały nieregularne polskie)".

Str. 25. „Mimo beznadziejności położenia stawiają polskie dywizje dzielnie czoło" (w okolicy Kutna).

Str. 28. „Zdecydowana i twarda obrona Przemyśla daje możność wycofania na Lwów trzech dywizyj".

Str. 28-29. „Na szosie Jarosław — Oleszyce — Cieszanów, zostają odcięte od swoich tyłów zamotoryzowane oddziały niemieckie. W ciężkich walkach udaje się nieprzyjaciela odrzucić".

Str. 30. *„Między Bzurą i Wisłą ma się rozstrzygnąć los Polski. O tym wiedzą dobrze Polacy. Dlatego też pozostałe w okolicy Kutna dywizje walczą z niesłychaną zaciętością i zajadłością. Na linie niemieckie idzie natarcie za natarciem".*

Str. 32. *„Faktem jest, że Polak walczył z nadludzkim męstwem"* (uwaga ta dotyczy całości walk pod Kutnem).

Str. 39. *„Podczas, gdy Polak rozpaczliwie walczy o każdą piędź ziemi"...* (walki o Pragę).

Nie chodzi nam o uznanie Niemców. Nie dbamy o ich opinie. *Wiemy sami, że honor nasz, nasz honor żołnierski nie może być w okresie tej wrześniowej kampanii poddawany w wątpliwość — jak nie może być poddawana wątpliwości postawa i ofiara całego narodu.*

Wojna nie skończyła się. Trwa nadal. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że prędzej, czy później zagrzmią nasze karabiny i działa w walce za Polskę, za Prawdę i Sprawiedliwość na świecie.

Janusz Sopoćko

*) Por. nr. 4-y „Polski Walczącej".



KSIĘGA BOHATERSTWA POLSKIEGO

Ułan Woroniewicz z K.D. 23 (pochodzący z 3 szwadronu 3 p. ul. śląskich).

Uratował życie jednemu z oficerów. Pod ogniem dwóch karabinów maszynowych zawrócił widząc, że sam nie może się wydostać z pod zabitego pod nim konia, wyciągnął go do pobliskiego wąwozu, a następnie schwytał konia biegnącego bez jeźdźca. Wszystko to zrobił nie wiedząc nawet, jak się ów oficer nazywa i z jakiego jest oddziału.

Melduje oficer uratowany przez ułana Woroniewicza. L. 236.

★

Ś.p. kapral sł.czyn. Przywara Antoni, Dyon Pancerny Nr. 51 przydzielony do Krak. Bryg. Kaw.

W natarciu dnia 9 września 1939 w rejonie Iłży wysiekł ogniem c.k.m. z samochodu pancernego całą kompanię nieprzyjacielską i zniszczył dwie obsługi działek przeciwpancernych nieprzyjaciela.

Sam trafiony pociskiem zginął. Pozostał obok młyna w Iłży.

Melduje dowódca Dyonu; L. sprawy 733/39 Rej. Tjn.

★

Ś.p. sierż. Żelazowski, III Baon Warsz. Bryg. O.N.

Oddawał ofiarne usługi w dowożeniu amunicji do pierwszej linii, był dzielnym i nadzwyczaj odważnym żołnierzem.

W czasie takiej akcji został zabity.

Meldunek L. dz. 1068/39.

★

Pporucznik rez. inż. pilot Stanisław Riess. (W dyspozycji d-cy lotnictwa).

Dn. 25 września 1939 r. podjął się ochotniczo lotu na samolocie bombowym z lotniska w jednym z krajów neutralnych do Waszawy celem przewiezienia i zrzucenia na spadochronie w rejonie Warszawy oficera ze specjalnymi zadaniami oraz rozkazami dla dowódcy obrony Warszawy. Wystartował z lotniska pomimo strzałów warty pilnującej polskich bombowców. W ciągu 5-godzinnego lotu nad obszarem działań wojennych wykazał niezwykłą odwagę, poświęcenie i brawurę. Po wylądowaniu na linii bojowej w Warszawie, z narażeniem życia kierował akcję ratunkową samolotu pod silnym ogniem nieprzyjaciela. W kilka godzin potem wystartował do nowego lotu na rozkaz dowódcy obrony Warszawy celem przewiezienia oficera z meldunkami. Lot ten odbył pomimo silnego ognia artylerii nieprzyjaciela.

Meldunek L. dz. 563/40.

★

Z walk 2 Brygady Strzelców Górskich.

Dnia 2-go września 1939 roku wychodzi natarcie nieprzyjaciela na prawe skrzydło brygady na kierunku Czorsztyn — Krościenko. Kierunku tego broni I. Komp. K.O.P. i 2 O.N. — d-ca kpt. Wróblewski. Natarcie to rozwija się, zagrażając Nowemu Sączowi oraz tyłom i komunikacjom 2 Brygady. Dla ratowania sytuacji zostają skierowane: II/1 psp na Limanową, dwa na wpół zorganizowane baony z ośrodka zapasowego Nowy Sącz — jeden również na Limanową, drugi na Łącko. — Nie powstrzymuje to jednak naporu nieprzyjaciela. Oddziały kpt. Wróblewskiego są otoczone na wzgórzu pod Kładnem, inne baony nie są w stanie powstrzymać wroga. Dowódcy robią co mogą.

Wyjątkowy charakter i dzielność wykazuje kpt. Wróblewski, który przeszło dobę wytrzymuje oblężenie i już uważany za straconego, przechodzi wpław Dunajec, przebija się przez oddziały niemieckie i dołącza do swoich.

Melduje Szef Sztabu 2 Brygady Strzel. Górskich; L. 752/39.

WIELKANOC

Książka z wierszami na półce,
A w książce wstążka i kwiat.
Pamiętasz z dziecinnych lat
Hijacynt w białej bibułce ?

U Karmelitów na grobach,
Gdzie zbrojny Rzymianin stał,
Myrrą pachniało i chłodem,
W zieleni wśród sztucznych skał.

W dzień święty Zmartwychpowsta-[nia —
Zaufaj młodzieńczym snom.
Może powrócisz z wygnania,
Rodzinny odnajdziesz dom.

Książka się znajdzie zniszczona,
Ta sama — serce ją zna.
Wspomnisz najmilsze imiona
I spadnie na książkę łza.

Antoni Słonimski

Czasowa siedziba Rządu Rzeczypospolitej Polskiej



(B. I. 5238)

Przy wyborze Angers, stolicy departamentu Maine et Loire, na czasową siedzibę polskich władz państwowych, niewątpliwie brano pod uwagę, obok względów na zapewnienie Rządowi Rzeczypospolitej dogodnego miejsca pobytu do chwili odzyskania Państwa Polskiego, także względy uczuciowe. Bowiem to staroświeckie miasto andegaweńskie ,w dużym stopniu, zarówno duszą swych mieszkańców, jak głębokim umiłowaniem tradycji, bliskie jest duchowi polskiemu i zdolne odczuć i podzielić uczucia wielu z pośród zamieszkujących je obecnie Polaków.

Angers, z czasów rzymskich Juliomagus, istnieje od II-go w. Położone jest malowniczo na obu brzegach rzeki Maine, pomiędzy jej ujściem, a punktem, w którym Maine powstaje ze zlewu Mayenne, Sarthe i Loir. Dzięki temu położeniu i dobrej komunikacji wodnej Angers było od niepamiętnych czasów ośrodkiem handlowym i politycznym obszaru, który ok. VII-go wieku rozpoczął byt historyczny jako Andegawia (Anjou).

Na miejscu dzisiejszego Angers istniało zapewne już w czasach przedhistorycznych osiedle celtyckie, a później zaś gallo-rzymskie. Stolicą hrabstwa Anjou staje się Angers pod koniec IX-go wieku, choć już od w. VI-go wybija się na czoło miast prowincji andegaweńskiej rządzonej przez Biskupów z Angers i grafów, mianowanych przez królów Neustrii.

Około XIII-go wieku Angers przechodzi we władanie królów francuskich. Wtedy to Ludwik IX wznosi w nim istniejący do dziś wspaniały zamek i opasuje miasto murem. Od tej pory Anjou a z nim Angers stanowi posiadłość bocznej rodziny królewskiej będąc m. in. gniazdem rodu Walezjuszów, których potomek Filip zostaje następnie królem i założycielem nowej dynasti francuskiej. Z andegawenów pochodzi również Henryk, późniejszy król francuski a przez krótki okres i król polski.

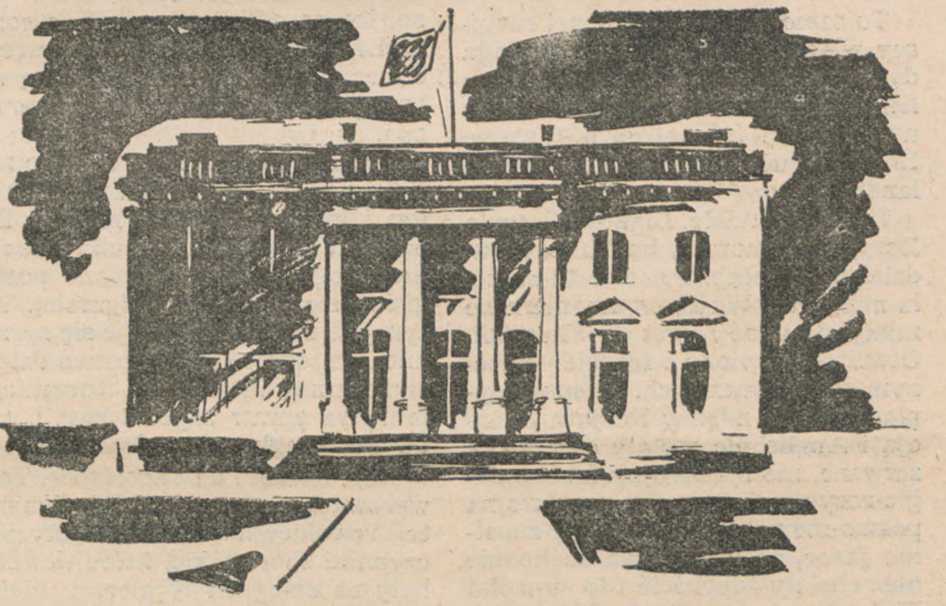
Anjou i z nim Angers są w czasie Wielkiej Rewolucji francuskiej miejscem powstań ludności wiernej królowi i przywiązanej do kościoła katolickiego. Tu właśnie mają miejsce przez 8 lat zacięte walki Wandei z I-szą Republiką. Dopiero w r. 1800 udaje się ostatecznie zawrzeć pokój w tej najdłuższej z francuskich wojen domowych i wprowadzić w departamencie Maine et Loire prawa Wielkiej Rewolucji.

W Angers pozostało wiele zabytków przeszłości. Na czoło wybija się swoim ogromem zamek pochodzący z XII-go wieku a dokończony w XIII-ym przez Ludwika IX. Zamek jest ciekawy głównie przez masyw zewnętrzny malowniczo rozłożony nad brzegiem Maine, natomiast wnętrza zachowały się w kościele Św. Maurycego i w dawnym opactwie Św. Aubina (dzisiaj prefektura), gdzie odkryto b. piękne i ciekawe freski i arkady. Obok kościoła Św. Maurycego na uwagę zasługuje kościół Trynitariuszy z XI-go wieku wzniesiony w ciekawej odmianie stylu romańskiego.

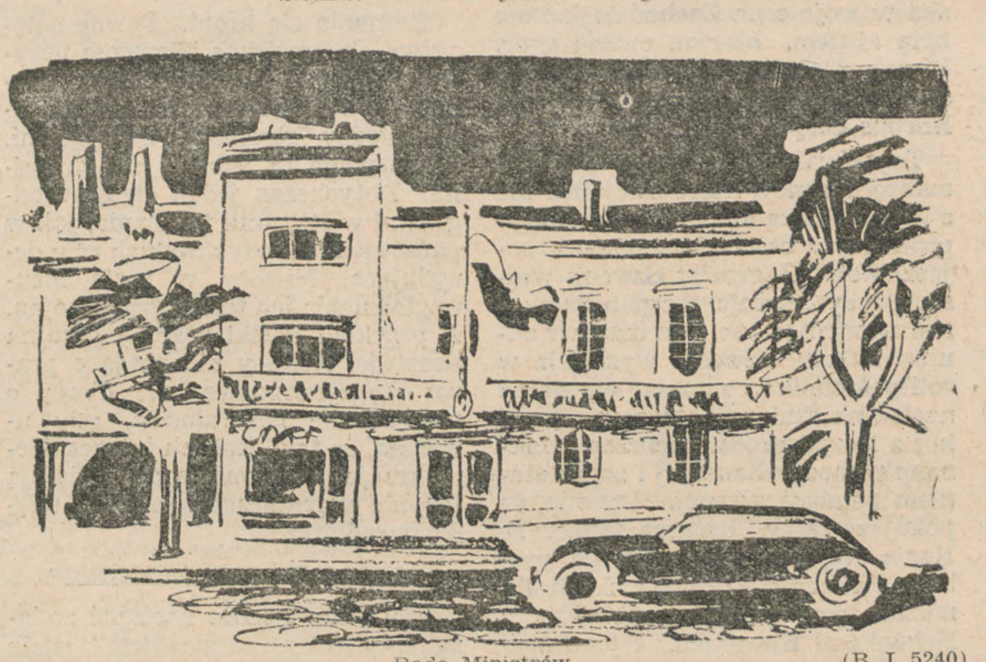


Katedra (B. I. 5243)

Okolice Angers posiadają również wiele malowniczych i ciekawych zabytków, m.in. wiele dolmenów (zabytków kamiennych) i kurhanów z czasów przedhistorycznych.



Siedziba Pana Prezydenta w Pignerolles (B. I. 5239)



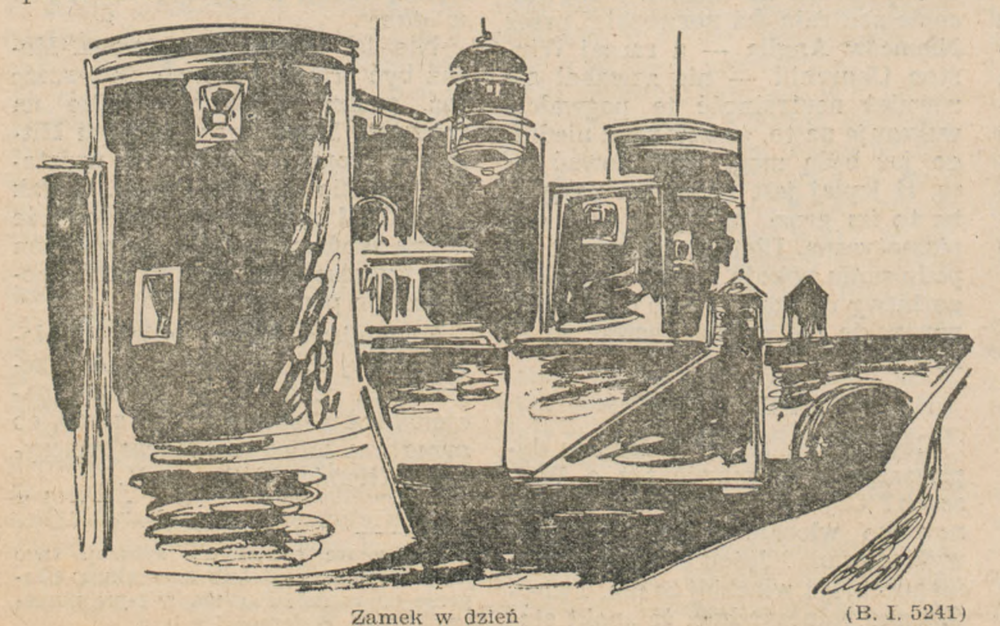
Rada Ministrów (B. I. 5240)

Dzisiejsze Angers jest miastem prowincjonalnym, ale posiadającym dużą kulturę nawiązującą do tradycji historycznych. Obok budowli pamiątkowych posiada ono wiele pięknych i obszernych gmachów nowoczesnych. W mieście jest fakultet medycyny, uniwersytet katolicki, oraz szkoła rzemiosł i sztuki. Bogata biblioteka miejska liczy około 100,000 tomów. Na szczególną uwagę zasługują muzea rzeźby, z bogatymi zbiorami dzieł Dawida z Angers, oraz muzeum wspaniałych tkanin średniowiecznych, z których liczne stanowią prawdziwe unikaty, czarujące przepięknymi barwami i nadzwyczaj ciekawą treścią.

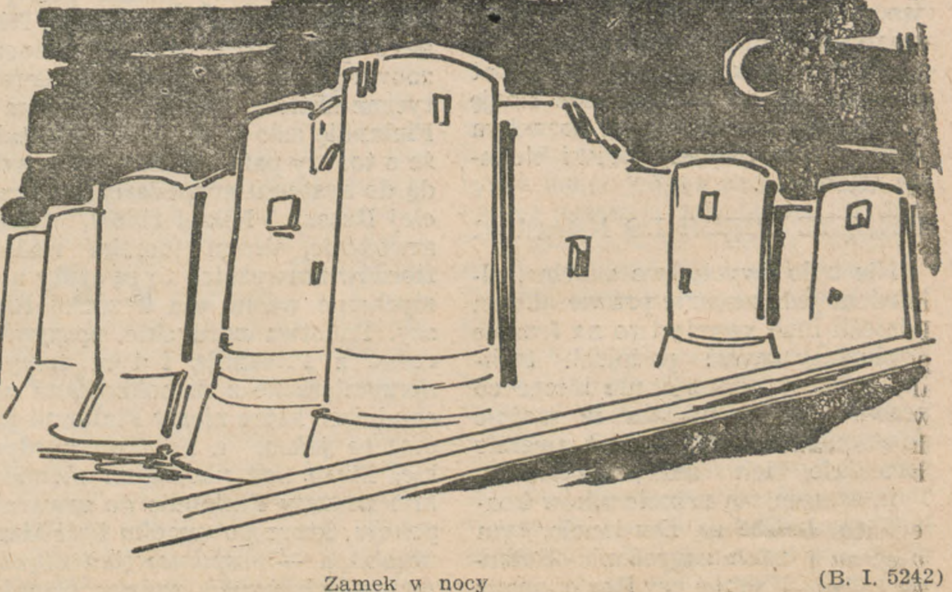
Obecnie stare Angers przeżywa nowy okres swej historii. Jest siedzibą tymczasową Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Rządu polskiego. Tętni życiem i pracą dla odrodzenia Polski, na której tron kiedyś wysłało jednego ze swoich książąt. Całym swoim pięknym i pełnym cnót sercem współczuje z Polską i stara się na każdym kroku okazać jej przedstawicielom swoje uczucia i swoją pomoc. To też na długo po odzyskaniu Ojczyzny zachowamy je we wdzięcznej pamięci i zawsze uważać będziemy poniekąd za miasto polskie.

Jerzy Pomian

Rysunki *Tadeusza Lipskiego*



Zamek w dzień (B. I. 5241)



Zamek w nocy (B. I. 5242)

Sześć miesięcy wojny dyplomatycznej

W tej dziwnej wojnie, która na Zachodzie właściwie się jeszcze na dobre nie rozpoczęła, istnieje obok frontu wojskowego nie mniej ważny front dyplomatyczny. Walka, która się na tym froncie toczy, jest także jeszcze przeważnie (by pozostać w ramach słownictwa wojskowego) walką pozycyjną, jeszcze cały szereg decydujących bitew pozostał do rozegrania. Jeszcze ciągle wojna jest wojną Niemiec przeciwko trzem sojusznikom: Polsce, Francji i Anglii, reszta zaś świata — wręcz przeciwnie, jak w latach1914-1918 — jest neutralna. Tym nie mniej jednak, jeżeli postaramy się zbilansować wyniki ostatnich sześciu miesięcy, to przekonamy się, że sytuacja powoli zaczyna dojrzewać do wyjaśnienia, że w ciągu tych sześciu miesięcy jednak dosyć dużo na tym froncie dyplomatycznym się stało, i że zasadniczą bitwę mamy już za sobą.

SOJUSZ ROSYJSKO - NIEMIECKI

Front dyplomatyczny rozpoczął swą działalność jeszcze przed wybuchem wojny. I nie może ulegać wątpliwości, że pierwsze zwycięstwo odniósł Adolf Hitler. Walka szła o stanowisko Rosji Sowieckiej. Wiadomo, że mocarstwa zachodnie pertraktowały z Rosją przez miesiące całe przed wybuchem wojny. Kto czytał francuską „Żółtą Księgę"ten wie, że ambasador francuski w Berlinie, Coulondre, jeden z najznakomitszych żyjących dyplomatów stale naglił o zakończenie układów z Rosją, był bowiem przekonany, że w razie układu anglo-franko-rosyjskiego Hitler nie odważy się rozpocząć wojny.

Historia tych pertraktacji w Moskwie okryta jest jeszcze tajemnicą. Rząd angielski nie zdecydował się dotąd na wydanie Białej Księgi, któraby obnażyła powody, dla których do układu nie doszło. Bieg wypadków wyraźnie jednak na te powody wskazuje. Tej ceny, którą Stalin otrzymał od Hitlera: połowy Polski i zwasalizowania państw bałtyckich oczywiście Francja i Anglia zapłacić za sojusz rosyjski nie mogły. Jest zresztą zupełnie możliwe, że Stalin właśnie dlatego zawarł układ z Hitlerem, a nie z demokracjami, że układ z Francją i Anglią uniemożliwiał wojnę, a Stalin chciał wojny na Zachodzie.

Wartość tego zwycięstwa hitlerowskiego w wojnie polskiej okazała się bardzo poważna i istotna. Cios w plecy, zadany armii polskiej przez Sowiety niewątpliwie przyczynił się bardzo wydatnie do skrócenia czasu kampanii polskiej. Na długiej fali jednak zwycięstwo to nie jest ani rozstrzygające ani zupełne. Nie jest rozstrzygające, albowiem wojna fińska wykazała, że armia rosyjska daleka jest od tego, aby być pełnowartościowym sojusznikiem. Nie jest rozstrzygające, albowiem nawet jako źródło surowców Rosja w tym momencie decydującej roli nie odegra. Nie pozwala na to ani stan przemysłu rosyjskiego, ani stan kolei rosyjskich. Lat potrzeba by na to, aby móc Rosję tak zorganizować, by jej bogactwa naturalne wyrównały skutki blokady alianckiej.

WEJŚCIE TURCJI DO KOALICJI

Nie było zwycięstwo zupełne, albowiem jednocześnie prawie alianci odnieśli inne zwycięstwo na froncie dyplomatycznym: podpisali traktat z Turcją. Turcja nie bierze co prawda jeszcze udziału w wojnie po stronie aliantów, ale jest zupełnie formalnie ich sprzymierzeńcem. Tym samym dla przeciwników koalicji zamknięte są Dardanele, tym samym w razie zagrożenia Bałkanów przez Niemcy czy Rosję, armia turecka wyruszy w pole. Tym samym wreszcie wisi nieustanna groźba na Baku i Batumem, wisi w powietrzu możliwość odcięcia Rosji od nafty, co nie tylko dla armii rosyjskiej, ale i dla rolnictwa rosyjskiego, opartego na traktorze stanowi dramatyczną groźbę i hamulec w zachciankach ekspansji.

To, że się mówi dzisiaj w prasie francuskiej i angielskiej o Baku i Batum stanowi zresztą dowód, że jedna z bitew dyplomatycznych ma się już ku końcowi.

Bitwa ta była bitwą, wydaną przez Rosję o możliwość rozszerzenia bez sprzeciwu swego stanu posiadania. W chwili, gdy Rosja wkraczała na ziemie polskie, dyplomaci rosyjscy po cichu mówili na Zachodzie: „Nie przeszkadzajcie nam w odbieraniu naszej „Alzacji i Lotaryngii". Przymierze rosyjsko - niemieckie nie jest przymierzem trwałym. Nie mamy najmniejszego zamiaru pomóc Niemcom w walce z Zachodem. Pozostaniemy neutralni. Gdybyście zaś przeciw nam wystąpili to tym samym pchniecie nas w objęcia Hitlera".

WOKÓŁ FINLANDII

To samo mówili dyplomaci rosyjscy w Genewie w chwili, gdy Liga dyskutowała nad Finlandią. Stalin liczył jeszcze w tej chwili na to, że uda mu się „zlokalizować" wojnę fińską, że uda mu się odosobnić Finlandię.

To się nie udało. Liga wykluczyła Rosję, postanowiła, by Finlandii udzielono pomocy. I pomoc ta zaczęła napływać. Wojska sprzymierzone miały się udać nawet do Finlandii. Otwarcie mówiono o froncie północnym sprzymierzonych. Stosunki dyplomatyczne między Rosją a Francją i Anglią nie zostały co prawda zerwane, nie było wojny franko-anglo-rosyjskiej, tak jak jest wojna polsko-rosyjska, ale stało się zupełnie jasne, że mocarstwa zachodnie nie chciały dopuścić do upadku Finlandii, że „neutralność" rosyjska w wojnie na Zachodzie już nie była atutem, którym można grać. Wszak Daladier wyraźnie oświadczył w parlamencie, że francuski Korpus ekspedycyjny był gotów.

To też Niemcy i Rosja zrzuciły maskę. Niemcy, które oficjalnie nic z wojną fińską nie miały wspólnego pośpieszyły otwarcie z pomocą sojusznikowi. Zagroziły Szwecji wojną, gdyby Szwecja przepuściła wojska sprzymierzone. Ten manewr odniósł sukces. Szwecja wystąpiła w roli pośrednika, zaczęła wywierać nacisk na Finlandię, by zawarła pokój z Rosją, grożąc nieprzepuszczeniem pomocy alianckiej i zaprzestaniem pomocy własnej. Prawda, że pokój zawarty, oznacza także, że Rosja rezygnuje z zupełnego podboju Finlandii. Prawda, że Stalin musiał poświęcić dla układów z Helsinkami Kuosinnena i jego operetkowy rząd.

Tym nie mniej jednak pokój z Finlandią, zawarty na rozkaz Niemiec pod egidą Szwecji oznacza znowu pewne zwycięstwo dyplomatyczne Hitlera. Nie tylko bowiem o Finlandię szło w tej grze. Szło także o to, czy państwa nordyckie wejdą do systemu gospodarczego Trzeciej Rzeszy. Nikiel fiński, żelazo szwedzkie, droga morska wzdłuż fiordów norweskich to są atuty niesłychanie ważne dla Trzeciej Rzeszy. Państwa nordyckie, sprzymierzone z Finlandią i tym samym sprzymierzone z demokracjami zachodnimi, które niosły Finlandii pomoc to jedno, a państwa nordyckie, które pod naciskiem niemieckim zmusiły Finlandię do zawarcia pokoju, które po upadku linii Mannerheima — *wspólnej linii obrony wszystkich trzech państw skandynawskich* — będą bezpośrednio pod groźbą najazdu rosyjskiego to, mówiąc wulgarnie, zupełnie inna para kaloszy.

Bitwa dyplomatyczna o Finlandię, a raczej o Szwecję i Norwegię była więc jedną z ważniejszych bitew w obecnej wojnie.

FLANKA LINII MAGINOTA

Bitwę dyplomatyczną o Holandię i Belgię Niemcy przegrali. Przegrali ją już w listopadzie roku zeszłego. Hitler chciał wtedy dla obejścia linii Maginota napaść na Holandię, prawie że bezbronną. Cofnął swój już wydany rozkaz, bo Belgia oświadczyła, że pośpieszy Holandii z pomocą. Od tego czasu przygotowania wojenne Holandii i Belgii wzmogły się znacznie i jasne jest, że jeżeli Niemcy będą chciały choćby gospodarczo te państwa od siebie uzależnić to będą musiały walczyć o to orężnie.

PARCIE NA BAŁKANY

Bitwa dyplomatyczna o Bałkany natomiast do rozgrywki ostatecznej nie doszła. Na tym terenie toczy się wciąż walka pozycyjna. Hitler chce państwa bałkańskie uzależnić gospodarczo od Niemiec. Chce sobie na Bałkanach utworzyć bazę surowcową, przy czym najważniejszą rolę odgrywa oczywiście nafta rumuńska.

Nacisk niemiecki na Rumunię rośnie wciąż. Wprowadzona jest w grę i groźba rosyjska przeciw Bessarabii i groźba węgierska przeciw Siedmiogrodowi. Próbowano posługiwać się i groźbą bułgarską. Na tym odcinku jednak zdaje się sprzymierzeni odnieśli zwycięstwo dzięki energicznej interwencji tureckiego ministra spraw zagranicznych, pana Saradżoglu.

Idzie nacisk i na Jugosławię. Tam wprowadzono w grę między innymi te rewolucyjne i terrorystyczne czynniki chorwackie, które dawniej były na usługach Węgier, a dzisiaj zwekslowały na Trzecią Rzeszę.

Rumunia się broni. Pewne ustępstwa ekonomiczne Niemcom uczyniła, pewnych odmówiła. Broni kurczowo swej neutralności, równowagi między stronami wojującymi. Równowaga ta jednak jest chwiejna. Dotychczas jeden element odgrywał w Rumunii tak samo, jak w państwach skandynawskich rolę decydującą. Niemcy w razie nieuwzględnienia ich żądań grożą wojną. A przykład Polski uczy, co wojna kosztuje. Niemcy nie dbają o prawo międzynarodowe, nie dbają o pogwałcenie neutralności, gdy uważają, że taki jest ich interes. Demokracje sprzymierzone działają jedynie w granicach legalności międzynarodowej.

AFERA Z „ALTMARKIEM"

I tu jednak może nastąpić zmiana. Incydent z „Altmarkiem", gdzie w odpowiedzi na bezczelne pogwałcenie neutralności norweskiej przez Niemców Anglia — a raczej Winston Churchill — nie zawahał się również neutralność tę pogwałcić wskazuje na to, że neutralni niedługo już będą mogli spekulować na to, iż lepiej jest Niemcom ustąpić, bo to im grozi najwyżej notą dyplomatyczną. Dlatego też nawet po podpisaniu pokoju fińsko-rosyjskiego bitwy dyplomatyczne o państwa nordyckie nie można uważać za ukończoną.

WOKÓŁ WŁOCH

Czy należy, pisząc o froncie dyplomatycznym, mówić też o Włoszech? Czy należy uważać, że stanowisko włoskie jeszcze nie jest wyklarowane? Jeżeli wierzyć prasie niemieckiej i włoskiej to nie. Twierdzą one jednozgodnie, że „pakt stalowy" nie drgnął, że jeżeli Włochy nie biorą udziału w wojnie po stronie niemieckiej, to na wyraźne życzenie Hitlera. Jest także faktem niewątpliwym, że dyplomacja włoska na wszystkich polach sekunduje dyplomacji hitlerowskiej.

Tym nie mniej jednak jest faktem, że i o Włochy toczy się walka pozycyjna. Najlepszym tego dowodem jest historia okrętów z węglem. Przypomnijmy ją pokrótce. Alianci ogłosili blokadę eksportu niemieckiego. Włochom jednak w drodze wyjątku pozwolono jeszcze przez czas pewien importować z Niemiec. Czas ten miał być zużyty na zawarcie układu handlowego angielsko - włoskiego, pozwalającego między innymi na zastąpienie węgla niemieckiego angielskim. Rokowania te były na ukończeniu, gdy rząd włoski je zerwał. Poczem dał rozkaz okrętom włoskim załadowanym węglem niemieckim w Rotterdamie wyruszyć do Włoch, licząc widocznie na to, że Anglia nie zechce wywoływać konfliktu. Anglicy jednak okręty zatrzymali. Rozpoczęły się rozmowy. W rezultacie okręty z ładunkiem wypuszczono, Włochy zobowiązały się jednak w przyszłości nie sprowadzać nic drogą morską z Niemiec i nawiązać z powrotem pertraktacje handlowe z Anglią.

Na to, że o Włochy idzie walka, wskazuje i ostatnia wizyta Ribbentropa z całym sztabem współpracowników, jak i w ślad za tą wizytą idące sensacyjne spotkanie wodzów faszyzmu i hitleryzmu na Brennerze Cel jego nie jest jeszcze wiadomy. Najprawdopodobniej wiąże się on z walką o Bałkany.

Wojna dyplomatyczna toczy się i na Dalekim Wschodzie o stanowisko Japonii. Zbyt jednak jest ona skomplikowana, by dało się nawet pobieżny szkic tej walki w tym artykule zmieścić.*)

PODSUMOWANIE

Zakończmy ten artykuł, który zaczęliśmy od stwierdzenia dyplomatycznego zwycięstwa Hitlera przypomnieniem decydującej jego dyplomatycznej klęski.

Cały plan wojenny Hitlera oparty był na tym, że albo Polska pozostanie odosobniona, albo zdąży ją podbić, zanim się wojna rozpęta na Zachodzie i po tym zawrzeć pokój. To jest pewne, że Hitler nie chciał wielkiej wojny europejskiej. To się nie udało. Dnia 3-go września Anglia i Francja wstąpiły do wojny, a słynna ofensywa pokojowa Hitlero w październiku spaliła na panewce. Kto zna rozmowy Hitlera z ambasadorem Anglii w przededniu wojny polskiej i między 1 a 3 września, kto słyszał gdańską mowę Ribbentropa i ostatnie mowy Hitlera, ten wie, jak niesłychana była ta klęska dyplomatyczna, jaka jest wściekłość Hitlera, że musi prowadzić tę wielką wojnę, której *wygrać nie jest w stanie.*

Nie dał jeszcze za wygraną. Można być prawie pewnym, że jeszcze raz, zanim rozgorzeje wojna na frontach, Mussolini w imieniu Hitlera zaproponuje pokój na podstawie uznania podboju Polski. Wszak powiedział on Sumner Wellesowi, że wojna skończy się niedługo pokojem kompromisowym. Ale i ta próba podzieli los poprzednich.

Zasadniczą bitwę wojny dyplomatycznej Hitler przegrał. A przegrana ta oznacza dla Niemiec nacjonal-socjalistycznych to samo, co przegrana bitwa nad Marną znaczyła dla Niemiec Wilhelma II.

X X X

*) Szersze oświetlenie sytuacji tego kraju znajdzie czytelnik w artykule: „Japonia na rozdrożu" druk. w 4-ym numerze „Polski Walczącej" z b. r.

Skutki wojny fińsko - sowieckiej — na dalszą metę

Opinia nie tylko Europy, ale szerokiego świata przechodzi prawdziwy wstrząs — wobec chwilowych wyników wojny sowiecko - fińskiej. Brutalny i cyniczny najeźdźca, mimo faktycznych klęsk, przejawiających się we wręcz niewiarogodnie wysokich stratach zdołał jednak zmusić bohaterską Finlandię do przyjęcia bardzo ciężkich warunków,

Naród i opinia polska bardziej, niż każda inna w świecie umie dzisiaj zrozumieć smutek i głęboki żal Finów w obliczu warunków narzuconego pokoju. Żaden bowiem inny naród nie był właśnie, tak jak polski w ostatnich miesiącach, ofiarą olbrzymiej i miażdżącej przewagi wroga, przewagi, która łamała heroizm żołnierza i zwarty opór całego społeczeństwa. Jeśli jednak właśnie my Polacy, mamy niestety największą możliwość zrozumienia i odczucia tragedii fińskiej, to mamy bardziej i wcześniej od innych obowiązek oderwać się świadomie od nastrojów obecnej chwili i osądzić położenie z całym spokojem i rzeczowością, a przede wszystkim z rzutem oka na dłuższą metę.

Obliczmy więc i ustalmy spokojnie rezultaty wojny fińsko - sowieckiej. Przede wszystkim nasuwa się fakt, który już się uświadomił w ciągu wojny. Cyniczna i brutalna zaborczość sowiecka, która jeszcze w chwili zdradzieckiego najazdu na Polskę 17 września 1939 roku, była przez wrogą nam propagandę pokrywana wykrętną argumentacją o „zjednoczeniu ziem ukraińskich i białoruskich celem uratowania ich przed Niemcami", odsłoniła się teraz w całej swojej jaskrawości. Dla opinii polskiej nie było to oczywiście żadnym odkryciem, tak samo jak utrata faktycznej niepodległości przez państwa bałtyckie nie była dla nas jakimś faktem nieprzewidzianym. zdawaliśmy sobie bowiem dobrze sprawę z tego, że Polska jest jedynym filarem, jedyną podstawą wolności narodów wschodniej Europy a zwłaszcza państw bałtyckich. Ta oczywista jednak dla nas prawda, nie była dla wszystkich w Europie jasna i dostępna. Dziś stała się rzeczą zrozumiałą dla wszystkich nie tylko w Europie, ale i w Ameryce.

Drugi czy dalszy moment dodatni, wypływający z wojny fińsko - sowieckiej — to bezceremonialne i bez apelacyjne zdemaskowanie istotnej wartości armii sowickiej, a przede wszystkim bezładu i chaosu, który zwie się bolszewizmem i gospodarką sowiecką. Również prawda u nas znana i rozumiana, a obca szerokiej opinii politycznej świata. Dziś gdy okazało się, że malutka armia trzy i pół milionowego narodu — coprawda w korzystnych warunkach i na przygotowanych pozycjach — zdołała stawić czoło przez 104 dni armii państwa, które chwali się, że liczy 180 milionów, — mit sowiecki okazał się nieporównanie gorszym wydaniem „kolosa na glinianych nogach". Sumaryczne wykazy wskazują, że straty sowieckie w stosunku do fińskich, były conajmniej siedmio, a najprawdopodobniej dziesięciotrotnie większe. Sowiety na małych stosunkowo odcinkach w walce z liczbowo tak słabym przeciwnikiem, — straciły co najmniej 200 tysięcy, a prawdopodobnie do 350 tysięcy ludzi zabitych, ciężko rannych, a zwłaszcza zamarzłych na śmierć. Są to proporcje strat i sił w dziejach wojen naprawdę wyjątkowe. Odsłaniają one istotnie oblicze naszego drugiego wroga, w szerokim świecie zręcznie zacierane propagandą.

W ten sposób zbliżamy się do trzeciego momentu dużej a dodatniej wagi z naszego stanowiska. W myśl oświadczenia premiera Sikorskiego i według ostatniego komunikatu szefa sztabu pułk. Kędziora, znajdujemy się w stanie wojny z Sowietami. Jest to sprawa prosta i jasna. Natomiast stwierdzenie niesłychanej wagi przyniosła deklaracja premiera francusk. Daladiera, deklaracja podtrzymana przez premiera angielskiego Chamberlaina, a mianowicie, że Francja i Anglia przygotowały wojska do wysyłki na wojnę z Sowietami po stronie fińskiej. Ekspedycja ta nie doszła do skutku jedynie w skutek odmowy przepuszczenia tych wojsk przez Szwecję i Norwegię, czyli konieczności naruszenia terytorium neutralnego, czego w myśl swojej ideologii państwa alianckie nie chciały zrobić. Ekspedycja więc korpusu pomocniczego przeciw Rosji nie doszła do skutku, nie mniej na porządku dziennym spraw europejskich pozostał fakt, że przez powyższe oświadczenia swych premierów Francja i Anglia znalazły się jakby w stanie wojny moralnej z Sowietami.

To byłyby te trzy zasadnicze a niewątpliwie dodatnie momenty wypływające dla nas z przebiegu wypadków związanych z wojną fińsko-sowiecką. Były to jednak dotychczas stwierdzenia wypowiadane ze stanowiska obserwacyj robionych w Europie i dla Europy. Tymczasem niewątpliwie nastąpi fala zjawisk wywołanych wojną fińsko - sowiecką, a wypływająca z charakteru i struktury tego całkiem innego świata, który się nazywa Rosją, obojętnie carską czy sowiecką.Rosja przez swą rozległość, brak komunikacji i cenzurę, nie jest krajem dostępnym takim wstrząsom i wpływom, jak inne kraje Europy. Wzburzenie opinii, potępianie rządu, gwałtowna krytyka wszystkiego tego, co jest, odbywa się w Rosji, słowem mówionym, skargami i opowiadaniami ludzi, a zwłaszcza żołnierzy wracających z frontu.

Byliśmy już w dziejach świadkami, jaki wpływ na całą Rosję miał powrót do swych chat żołnierzy i inwalidów z wojny rosyjsko - japońskiej. Trwało to długo, nie tylko wiele miesięcy, ale raczej rok, zanim te opowiadania o nieprawdopodobnym nieładzie i nieludzkim traktowaniu ludzi za Bajkałem w czasie wojny, wstrząsły całą Rosją i przyniosły rewolucję lat 1905 - 1906. Dziś wróci do Rosji sowieckiej cały kontygent nieszczęśników, stokroć bardziej nieludzko traktowanych i pędzonych przez swych komisarzy bolszewickich, niż przez dawnych rządców carskiej Rosji. Rozpłyną się po całej Rosji setki tysięcy mimowolnych agitatorów, opowiadających jak marzli i ginęli na lodach Finlandii i to w imię polityki, która głosi hasło „wojna wojnie" i twierdzi, że wszędzie uchodzi w charakterze oswobodzicielki witanej radośnie przez „gnębiony proletariat"

Jednocześnie jednak tymi nieszczęśnikami sowieckiego systemu wojskowego, rzucającego ludzi na śmierć i mróz bez cienia troski o żołnierza, rozpływają się po tej Rosji „wyswobodziciele Ukrainy i Białorusi spod kapitalistycznego wyzysku Polaków". „Oswobodziciele" ci przynoszą ze sobą opowiadania i opisy, jak to w tym „piekle kapitalistycznym" mimo wojny i zniszczenia — było jeszcze wszystkiego wbród. Opowiedzą oni, że jednak tym „oswobodzanym" powodziło się mimo wojny nieporównanie lepiej, niż im w czasie pokoju. Opowiedzą, że w tym „piekle kapitalistycznym" można było z początku wszystko dostać i kupić bez trudu a na pojęcia sowieckie prawie za darmo. W ten sposób w niejeden zapadły kąt tej olbrzymiej sowieckiej Rosji, do którego od lat przeszło 20 nie docierało ani słowo prawdy, dotrze początkowo może słaby promień oświetlający zarówno nieludzką brutalność sowieckiego systemu, jak i tragiczną bezskuteczność i katastroficzność sowieckiej gospodarki.

Dla każdej Rosji, carskiej i sowieckiej, wszelkie wojny stanowiły i stanowią przede wszystkim — ogromne niebezpieczeństwo wewnętrzne. Niewątpliwie za czasów carskich, po jakieś n.p. wojnie krymskiej, czy za czasów sowieckich po wojnie polsko-sowieckiej, rosyjski aparat administracyjny, obojętne carski, czy sowiecki, rzucał się natychmiast do opanowywania tego niebezpieczeństwa powojennego. Będzie to także teraz robił Stalin i jego aparat, ale przecież wojna ta trwała zbyt długo, sytuacje były zbyt okropne, straty i kompromitacja zbyt wielka, by zgnębienie tych wszystkich głosów mogło być łatwe.

Wszyscy głębsi znawcy bolszewizmu i Sowietów, zwalczając wszystkie złudne nadzieje wewnętrznego załamania się systemu sowieckiego wskutek takich czy innych braków ekonomicznych, lub przez takie czy inne walki partyjne, zawsze zgodnie i słusznie stwierdzali, że Sowiety i Rosję może poderwać tylko jedna jedyna rzecz: wojna, a raczej nastroje powojenne. Wojna taka skończyła się niestety zawcześnie, toteż przyjaciel bolszewizmu hitleryzm niewątpliwie odetchnął z ulgą.

Nie mniej ta wojna była, te nastroje powojenne przyjdą, obowiązkiem wszystkich, wszystkich bez wyjątku, którym jest droga wolność człowieka, jest pogłębianie tych nastrojów. Zewnętrzny pokój Sowietów może, a raczej powinien stać się początkiem wojny ale wewnętrznej.

Aleksander Rawski

Speaker londyński pisze:

Londyn, 17-go marca 1940

Drogi Redaktorze.

Wśród listów, jakie poczta przynosi do wielkiego białego gmachu British Broadcasting Corporation, czyli w skrócie BBC (czytać, jeśli łaska, Bi-Bi-Si), znalazł się i Pański. Brzmiał on nadmiernie uprzejmie, jak na czasy wojny. Pyta się Pan, czy byłbym skłonny pisać dla gazety żołnierskiej, która rodzi się w Paryżu. Czy byłbym skłonny? Doprawdy, nadmiar uprzejmości i względów dla speakera w cywilu! (Wprawdzie przepisy angielskie przewidują, że wszelaka prasa i radioci należą do wojskowej służby pomocniczej, ale nie wydali nam mundurów i każą chodzić w własnym cywilu). Bardziej na miejscu i na czasie było by napisać: pisać zaraz i rozsądnie! Na co odpowiedziałbym: rozkaz!

Okazuje Pan jednak przedwojenne maniery, jest Pan liberalny, jeżeli chodzi o tematy, i nie każe mi Pan pisać rozsądnie. Mimo tej dyskrecji, postaram się pisać trzeźwo i do rzeczy, o tym, co interesować może żołnierzy i czego by się chcieli dowiedzieć poza słuchaniem głosów naszych ze stacji londyńskiej.

A że najłatwiej zacząć jest od własnej kuchni czy podwórka (jak wolicie), więc wspomnę na zawarcie znajomości coś nie coś o kulisach londyńskiego głosu. W pierwszym zaraz zdaniu pochwaliłem się ową pocztą, która zjawia się w wielkim białym gmachu, co przypomina kształtem transatlantyk. Nie jest to żadna przesada, ale sekcja polska Radia Brytyjskiego, nie jest na pewno kopciuszkiem wśród rozmaitych polskich poczynań rozsianych po świecie. Przez pół roku naszego działania — ściśle 7-go września zaczęliśmy posyłać w eter nasze programy — przewaliło się przez nasze biurka tysiące listów. Pisano do nas ze wszelakich doprawdy kątów. Nie tylko emigracja nasza z Rumunii, Łotwy, Estonii czy Węgier — pisali Polacy z Kongo belgijskiego i Ameryki południowej, pisała okupacja sowiecka w Polsce, przekradały się listy z okupacji niemieckiej.

Nie zabrakło tam listów z Danii, od kolonii naszej z Belgii, Holandii, no, i oczywiście moc listów od naszych z Francji. Krzepiące to były listy, od serca pisane. Wiele krytyki dawnych rzeczy, wiele wiary, że będzie inaczej, wiele miłości do sponiewieranego kraju. Te listy były najpiękniejszymi chwilami, które łączyły nas, ludzi z za biurka i mikrofonu, z wielką polską gromadą, szarpaną uczuciami rozpaczy i nadziei. Były to chwile, kiedy widzieliśmy, że praca nasza jest pożyteczna, że jest oceniana, że głos nasz jest słuchany.

Przed mikrofonem londyńskim odczytano już tysiące nazwisk wychodźców, którzy chcieli dać w ten sposób znak życia swoim w Polsce. Idea przyjęła się, Anglicy sami rozpisywali się w swojej prasie, jak wielkie i pożyteczne dzieło ludzkie spełnia radio. Po raz pierwszy bodaj w dziejach radiofonii na tak wielką skalę podjęto sprawę porozumienia się rozdzielonych i rozbitych przez złe losy.

* * *

Dziennik radiowy polski z Londynu, podawany trzykrotnie w ciągu dnia w porcjach piętnastominutowych, jest zasługą naszych sprzymierzeńców. Anglicy stworzyli tę placówkę w ramach swoich zagranicznych programów, które wołają świat w dwudziestu blisko językach. Mówią Czesi i Hiszpanie, mówią Holendrzy i tzw. Afrikaans, mieszkańcy Afryki południowej, mówią Francuzi i Egipcjani, Rumuni i Włosi. Ale bez przesady powiedzieć można, że mało który biuletyn radiowy jest tak chciwie chwytany i wśród takich niebezpieczeństw słuchany, jak polski biuletyn z Londynu.

Radio paryskie podaje Wam materiał obszerniejszy, posiada więcej czasu do spraw szczegółowych, mówi Wam więcej o Polsce. Londyn musi być zwierciadłem Imperium Brytyjskiego. Celem jego jest wiadomość, informacja w skali światowej. Rzeczy morskie, które stanowią ośrodek zainteresowania Anglii — a na morzu odbywa się też najbardziej realna i zawzięta wojna — pojawiają się w audycji londyńskiej częściej, niż do tego przeciętny Polak nawykł. Rozważania gospodarcze, sprawy handlu zamorskiego — także występują okazale, bo też wojna obecna jest w większym, niż dawniej stopniu problemen ekonomii i właściwej organizacji gospodarki.

Dajemy Wam świat widziany przez oczy Anglii, mocarstwa, które przystąpiło do wojny w tym rytmie, do jakiego nawykło.

Powie ktoś gorętszy: tam u licha, wolelibyśmy, ażeby ta wojna już się zaczęła! Dlaczego nikomu się nie śpieszy? Ale zapomina, że każdy organizm ma swoje tętno i swój rytm oddechu. Anglia nie może oddychać tak, jak n.p. Polska. Prowadzi ona wojnę według swoich obliczeń, musi nadać wojnie swój krok. Gorąco kąpany nie ma racji, kiedy chciałby dostosować wszystko do swojej niecierpliwości i polskiego temperamentu. Zapomina on, jakich olbrzymich rzeczy dokonuje Anglia c o d z i e n n i e na każdym polu, jaką pracę odwala się na morzach, w fabrykach, w powietrzu, jakie miliardy płyną na wojnę. Laik nie widzi tego, ale to wszystko jest i rozwija się.

To właśnie chciałem powiedzieć Wam na samym wstępie, niecierpliwi Polacy. O tym tempie angielskim, o tej pracy, którą nikt się tu nie przechwala, napiszę Wam na drugi raz.

Speaker londyński

Śpiewam dla żołnierzy

Był początek listopada, kiedy zaproszono mnie po raz pierwszy do śpiewania w obozie polskim. Tkwiłam dni i noce przy aparacie radiowym, dygotałam z nieustającego przejęcia wobec tego, co jego fale przynosiły ze wszystkich stron. Byłam w Paryżu jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym Polakiem, który chwytał z eteru wieści, lecące jak lawina, a napewno jedynym, który pochłaniał je w tak olbrzymim zakresie. Słuchanie okropnej pieśni wojny, nie śpiewanie malutkich piosenek — stało się moim zadaniem i zawodem. Nie myślałam o śpiewaniu, nie pamiętałam prawie, że kiedykolwiek śpiewałam.

Zgodziłam się jechać, ale od razu zgiął mnie strach przed nieznaną publicznością, zaczęła mnie dręczyć świadomość, że to, co dotychczas śpiewałam nie będzie odpowiadało potrzebom i upodobaniom słuchaczy. Lęk nie opuszczał mnie przez całą drogę do obozu. Wzmógł się jeszcze, gdy na miejscu zażądano ode mnie piosenek żołnierskich. Przyrzekłam — na półtorej doby przed koncertem — że się nauczę. Gdy już przyrzekłam, przeraziłam się. Przecież od jakichś 6-u lat, od czasów burzliwych przygotowań pierwszych moich koncertów, kiedy zdarzało mi się nauczyć jakiegoś wiersza czy piosenki w przeddzień występu — nie zrobiłam niczego podobnego. Co to będzie? Napewno skandal.

Nazajutrz zaczęłam robić próby z akompaniatorem,doktorem medycyny w żołnierskim mundurze. Dostałam przepustkę i wchodzę do obozu. Idziemy szosą pod górę, przechodzimy obok równo wyciągniętych baraków. Czuję się trochę speszona, bo żołnierze mi się przyglądają. Jest mglisto, wilgotno. Nie wiem, dlaczego mi ten pejzaż obozowy przypomina Polskę, a raczej krajobraz w Poznaniu. Widzę siebie spacerującą w takie same wilgotne, szare dni za miastem koło cytadeli poznańskiej. Były tam takie same świerki, jak tutaj na pagóreczku niedaleko wejścia, tylko, że nie widziało się tylu żołnierzy. Takie samo wisiało siwe i niskie niebo nad płaską, mokrawą ziemią.

Pianino w „Foyer du soldat" jest sztuką muzealną. Gruchot taki, że aż rozczulający. Klawisze nie mają już powłoki, świecą gołym drzewem, 3/4 tonów nie odpowiada wcale, albo niechętnie, w resztę trzeba uderzać z całych sił, aby wydobyć dźwięk, przypominający starą katarynkę, albo brzęk garnków. Myślę, że trzeba tutaj wynaleźć jakąś specjalną technikę, ułaskawić ten zmęczony sprzęt, to w końcu wyda i z siebie jakieś możliwe dźwięki. Przypuszczenie jest słuszne. Po 15 minutach mocowania się z wrogiem, słyszę melodię całkiem podobną do tej, którą mam zamiar śpiewać, zdaje mi się, że przy dostatecznym użyciu pedału wszystko brzmi całkiem możliwie. Nauczyłam się szybko swoich nowych piosenek, pracujemy razem przeszło godzinę. Akompaniator biada nad fortepianem, do którego ja czuję już duży sentyment.

Po obiedzie idę na mały spacer. Miasteczko obok obozu jest nijakie. Krzywo wygięty szereg domków z jednej strony, przeważnie kawiarnie — jedna przy drugiej. Dopiero za miasteczkiem zaczyna się krajobraz, w którym powtarzają się ciągle smugi świeżo zoranego pola, na nich drzewa obsypane jabłkami i jakieś inne. Ziemia faluje lekko. Jest cicho, niewiele domów przy drodze. Powietrze pachnie świeżo wykopanymi ziemniakami, ziemią dopiero co zoraną i wilgotną trawą. Znowu przypomina mi się Poznań. Dziwię się trochę, że chłop pogania woły po francusku, a nie polsku.

Idąc wspominam, że jest to pieśniana ziemia. Niemal z każdą miejscowością wokół obozu kojarzy mi się jakaś piosenka. Tylko parę kilometrów stąd, śpiewa się w drodze na pasterkę, moją ukochaną kolendę, w której chłopkowie umawiają się, jak najgodniej zagadać do Boskiego Niemowlęcia. Moje serce ma ten, który w nieśmiałości postanawia tylko udawać, że coś mówi; Jezusek pomyśli, że mówi coś nadzwyczajnego:

— Et ma qui n'es point trop hardi
Quand j'irons a g'noux devant li,
D'causer je ferai semblant
Le p'tit Jésus crera que j'dis
Des merveill's entr' mes dents.

Z pianinem popsuto mi całą przygodę. Postanowiono postarać się o inne, znajdujące się w jednej z kawiarń w miasteczku. Rzeczywiście jest to Bechstein — wobec tamtego, obozowego. Ustępuje, bo dla produkcji lepiej. Ale właściwie jest mi trochę smutno. Do tego instrumentu bardzo średniej jakości, zupełnie normalnego, nie można mieć bardziej osobistego stosunku. Jest zupełnie nieinteresująco przeciętnym sprzętem. Nie to, co tamten, wzruszający stary gruchot.

W niedzielę rano próba. Mgły już nie ma, słońce świeci wspaniale, jest ciepło i bardzo gwarno. Próba jest raczej udana. Akompaniator ślicznie się wszystkiego nauczył. Sala jest dość duża, z prymitywną sceną. Rzędy ławek, u góry galeria i olbrzymie drzwi w głębi, jak od hangaru. Zimno piekielnie, ale akustyka zdaje się, być dobra.

Trema nie opuszcza mnie aż do występu. Gdy przychodzę na koncert, jest już bardzo pełno, żołnierze ustawieni w długim ogonku przed budynkiem, napływają ciągle. Po 15 minutach sala jest wybita. Robi się od razu ciepło, gwarno, nastrój jest właściwie wesoły. Zaczyna się akademia. Przemówienia.

Po przemówieniach wdrapuje się na scenę chór i śpiewa 4 żołnierskie piosenki. Bardzo to wzruszająco wygląda. Wszyscy są w tych trochę wyświechtanych, niebieskich mundurach, mają bardzo przejęte miny — śpiewają dobrze, a publiczność już teraz na samym początku jest zachwycona. Oklaskuje każdą piosenkę wprost rozrzutnie. Przypuszczam, że do serdecznego nastroju, jaki salę ogarnął przyczynia się też okoliczność, że to koledzy się popisują a nie nieznani artyści.

Wzruszam się bardzo tym niezwykłym zjawiskiem, jakim jest dla mnie to przedstawienie. Bodajże po raz pierwszy w życiu odczuwam w tym stopniu wspólnotę polskości. Chwyta mnie za gardło ta polska mowa i melodia śpiewana w sposób trochę nieudolny, ale tym bardziej wzruszający, wzrusza mnie oddanie z jakim pracują ci moi „koledzy" tam na scenie, i oddanie, z jakim słucha cała sala i wdzięczność jaką okazują ci żołnierze za wszystko, co się tam na scenie dzieje. O ileż to przyjemniej pracować dla ludzi tak bezpośrednio reagujących, aniżeli dla tej zwykłej zmęczonej i zepsutej publiczności. Kiedy Henryk Rozmarynowski czyta ustępy z „Ksiąg Piel grzymstwa" Mickiewicza, już nie tylko ja się wzruszam. Sala jest uroczysta, poważna, wielu po cichu obciera łzy — mogę się już nie wstydzić, skoro nawet mężczyźni ulegli wzruszeniu i łzom.

Teraz kolej na mnie. Wschodzę na scenę, gardło mam ściśnięte z przerażenia, kolana i ręce drżą, ale trzeba zaczynać. Jak zawsze, od kiedy tylko występuję, ślubuję Panu Bogu „poprawę", jeśli mi się uda zaśpiewać porządnie. Po pierwszej piosence czekam z przerażeniem, a nuż zaczną gwizdać? Nic podobnego, klaszczą i to tak serdecznie, że aż czuję się zastwydzona. Skończyłam pierwsze trzy piosenki, teraz nie tylko klaszczą, ale nawet krzyczą „bis".

Schodzę ze sceny w kulisy, zapominam na sekundę, że według mojej oceny śpiewałam te dwie nowe piosenki poniżej wszelkiej krytyki, cieszę się tylko dziecinnie, że minęło, że nie gwizdali, i że wyraźnie się im nawet podobało.

W drugiej części jeszcze jeden moment głębokiego wzruszenia, to „Modlitwa Konrada", którą mówi Rozmarynowski. Rzewność, tęsknota, smutek ogarnęły wszystkich bez wyjątku.Patrzę uważnie: nie ma ani jednej obojętnej twarzy, widać, że słuchają z niesłychanym napięciem. Potem już nastrój robi się lżejszy. Piosenki stają się weselsze,żołnierze zaczynają się bawić. Jedną z piosenek przerwali z radości oklaskami pośrodku zdania, i trzeba było czekać, aż się uspokoją, zanim można było śpiewać dalej. Na bis musiałam zaśpiewać jeszcze po francusku. To wprawdzie zupełnie nie było przewidziane, ale jakoś poszło, chociaż akompaniator był bardzo przerażony.

Niedługo potem śpiewałam na Boże Narodzenie. Cztery koncerty w ciągu dwu dni. Ale droga była już utarta. Ciemna, dysząca ciepłem i gwarem sala — znajoma i bliska. Można było jakoś przetrwać i to, że tym razem akompaniator (dlatego, że nie lekarz) umiał grać tylko jedną ręką (prawą).

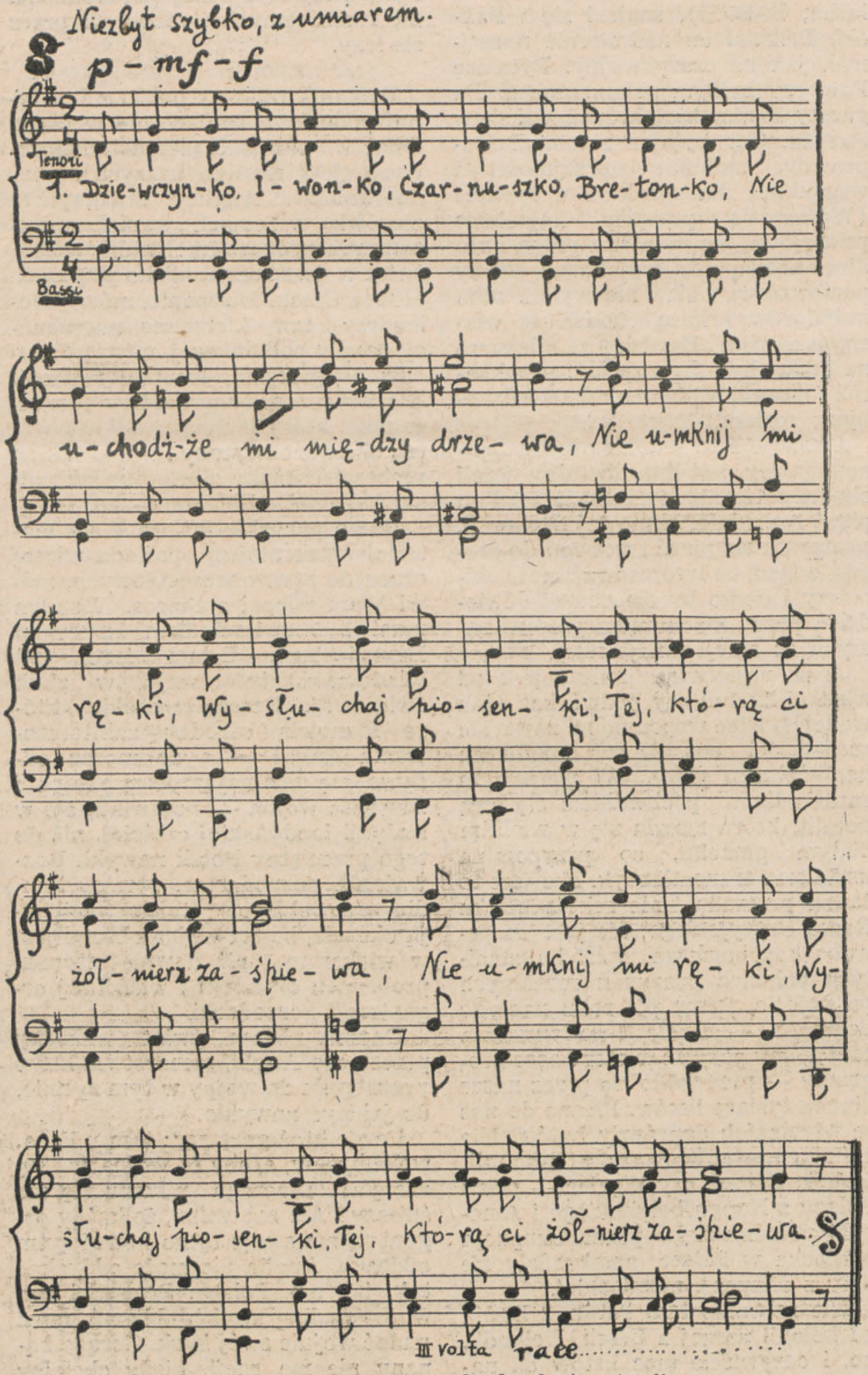
Ani występ z Małcużyńskim w mieście garnizonowym w pobliżu pierwszego obozu polskiego, ani wieczór w koszarach Bessière w Paryżu nie dały mi takiej sumy przeżyć, jak koncerty, w których zetknęłam się z prawdziwą widownią żołnierską. Widownią jedyną w swoim rodzaju. Bo każdy z tych moich słuchaczy i wszyscy razem są przecież członkami jednego bractwa, ludzi kochających piosenkę. Żołnierze i ja, prócz rzeczy wielkich, których nie poważam się nazywać po imieniu mamy jeszcze wspólną miłość piosenki — tej rzeczy ptaszęco drobnej i ptaszęco czułej. Może dlatego rozumieliśmy się tak dobrze. Może dlatego byli mi życzliwi ponad zasługę. Chowam to we wdzięcznym sercu.

Tola Korian

IWONKA

(Piosenka chóralna)

Słowa: *Antoni Bogusławski* Muzyka: *Andrzej Lorent*



Dziewczynko, Iwonko,
Czarnuszko, Bretonko,
Nie uchodź-że mi między drzewa,
Nie umknij mi ręki,
Wysłuchaj piosenki,
Tej, którą ci żołnierz zaśpiewa.
Nie umknij mi ręki,
Wysłuchaj piosenki,
Tej, którą ci żołnierz zaśpiewa

Ja myślę, ja myślę,
Że liścik ci wyślę,
Gdy będę daleko, na froncie;
Pamiętaj Polaka,
Żołnierza — junaka,
Co kochać potrafi gorąco.
Pamiętaj Polaka,
Żołnierza — junaka,
Co kochać potrafi gorąco.

Pokochał on ciebie,
Pokochał w twym niebie
To słońce, co Francji lśni czarem.
Bo z Francji zwycięsko
Szedł mścić się za klęskę
Pod własnym, pod polskim
[sztandarem.
Bo z Francji zwycięsko
Szedł mścić się za klęskę
Pod własnym, pod polskim
[sztandarem.

Co zawierał pewien tornister w roku 1917

Ilekroć czynię przegląd wspomnień z tamtej wojny, wciąż jeszcze zwanej wielką, widzę „oczyma duszy" pewien tornister, pokryty włochatą, jasno-brunatną skórą cielęcą. Należał on do ekwipunku cesarsko i królewskiej piechoty, a więc nosił go również pewien jednoroczny ochotnik jegrów. (W rzeczywistości nie był on ani jednorocznym, ani ochotnikiem, gdyż służył dwu cesarzom austriacko - węgierskiej monarchii przeszło dwa lata i przymusowo). Tym jegrem byłem ja.

Tornister jak tornister, nie odznaczał się niczym osobliwym. Miał pewną ilość rzemieni oraz przegródek, i zawierał wszystko, co według przepisów powinien był w sobie mieścić. A więc: bieliznę, ręczniki, szczotki, mydło, suchary i naboje. Zawartość c. i k. tornistra była coprawda standaryzowana, jednakże każdemu żołnierzowi wolno było przechowywać w jego ciasnych zakamarkach również i pewną ilość przedmiotów zwanych „osobistymi". Do nich to wracam myślą i to myślą wdzięczną. Gdzieś między ręcznikiem a dodatkową parą onucek, nosiłem w mym tornistrze kilka kajetów oraz dwa dzieła: „Pismo święte" i grecki tekst Homerowej „Odyssei" w lipskim wydaniu Teubnera. Przebyły one ze mną wszystkie etapy niezbyt sławnej służby, towarzyszyły mi na wszystkich marszach, odwrotach, biwakach, tranzenach, a zwłaszcza krzepiły ducha w szpitalach, (polowych, etapowych i rezerwowych), gdzie na koszt cesarza leczono moje ciało, niebardzo wytrzymałe na trudy cesarskiej służby.

Czytałem sobie Biblię i Homera w czasie tamtej wojny, we wszelkich możliwych pozycjach: stojąco, siedząco, na kolanach i leżąc bądź na wznak, bądź na brzuchu. Z tych lektur uprawianych w różnych pejzażach, w różnych porach roku, w różnych temperaturach, w różnym towarzystwie, częstokroć bardzo mieszanym, i w rozmaitych momentach dziejowych wyniosłem — zdaje się — na całe życie to, co krytycy literaccy nazywają „duchową formacją" pisarza.

Być może, gdybym zagłębiał się w tych nieśmiertelnych księgach tak, jak to robią inni ludzie, to znaczy: w domu lub w bibliotece zyskałbym całkiem inny stosunek nie tylko do tych wzniosłych tekstów, ale w ogóle do — świata. Ale skoro już los postanowił, abym obcował z Biblią i Homerem w okolicznościach nieco wyjątkowych — więc nic dziwnego, iż skutki tego obcowania były również odmienne. Los chciał, żeby charakter moich wzruszeń, wywołanych lekturą i Homerem, zbliżył się do tych właśnie wrażeń wojennych, które w tak dużym stopniu stanowią o wielkości i patosie tych ksiąg. Los kazał mi żyć z Homerem pośród skłóconych żywiołów przyrody i wśród zwaśnionej ludzkości. W samym niejako centrum spraw ludzkich, spraw ostatecznych, między życiem a śmiercią, między niebem a ziemią, a niekiedy i piekłem, dane mi było pić, upijać się świętym napojem nieprzemijającego piękna i prawdy. A gdy się ma lat dwadzieścia — dwadzieścia i dwa — tego rodzaju pijaństwo pozostawia w organiźmie ślady — na całe życie.

„Aż raz w wojskowym szpitalu
na jakiejś straszliwej wojnie
Mówiłeś do mnie spokojnie
o tym, że miasta się palą..."

Tak pisałem w parę lat później po ukończeniu przekładu „Odyssei" i dziękowałem Homerowi za tyloletnie towarzystwo.

W istocie bowiem, raz, w wojskowym szpitalu postanowiłem przetłumaczyć całą „Odysseję". Napisałem do przyjaciół, żeby mi posłali słownik, który odtąd wzbogacił zawartość mego tornistra, zabierając w nim zbyt wiele miejsca. Pierwszy człowiek, któremu winien jestem wdzięczność za życzliwą pomoc w pracy, był pewien porucznik - lekarz, który oddał rekonwalescentowi - Homerydzie swój gabinet ordynacyjny do dyspozycji. W gabinecie doktora J., w szpitalu etapowym Nr...już nie pamiętam numeru przetłomaczyłem „Odyssei" pieśń pierwszą: „Zgromadzenie bogów na Olimpie. Atena wlewa Telemachowi otuchę w serce". Mnie też. Odtąd nieraz utożsamiałem całą cierpiącą na wojnie ludzkość z boskim wędrownikiem Odyssem.

Z czasu mojego trzymiesięcznego pobytu w szkole oficerów rezerwy w Jägerndorfie (Krniowie) na Śląsku wspominam z największą wdzięcznością wybitnego filologa czeskiego, profesora Franciszka Novotnego. Był on wówczas kapitanem rezerwy i należał do „ciała nauczycielskiego" szkoły. W owym czasie miałem dwadzieścia jeden lat i jako taki nie miałem prawa mieszkać „na mieście". Z przywileju tego mogli korzystać jedynie koledzy żonaci, lub tacy, którzy już ukończyli trzydziesty rok życia. Ale bogowie kazali mi tłómaczyć Homera w bardzo młodym wieku, a ten wiek pociągał za sobą obowiązek mieszkania w koszarach, zaimprowizowanych w fabrykach tego pięknego miasta przemysłowego. W ogromnej „cymbrze" zakwaterowana była cała kompania. Nie było tam nawet stołu, przy którym można by jeść menaż. Więc pokrzepiony przez Pallas Atenę na sercu, udałem się do kapitana Novotnego i zwierzyłem mu się z chęci tłómaczenia „Odyssei" w godzinach wolnych od służby. Kapitan Novotny przyjął mnie bardzo życzliwie i obiecał uzyskać dla mnie u dowódcy szkoły prawo wynajęcia — w drodze wyjątku — pokoiku „kawalerskiego" na mieście.

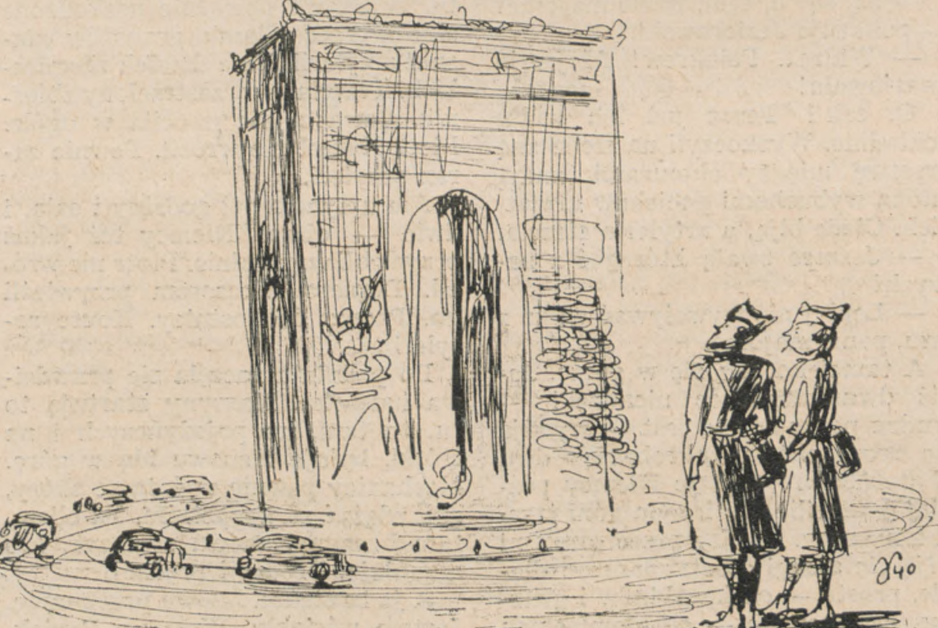
Atoli podobnie jak u bogów na Olimpie, tak i w szkole oficerów rez. XI korpusu, nie zawsze panowała zgoda między bóstwami tej szkoły. Mój przełożony, porucznik Y. nie nie cierpiał szkolnego Zeusa, kapitana E. Ale postanowieniom jego sprzeciwiać się nie śmiał. Nienawidził on również mojego protektora, ponieważ nienawidził Czechów. Łatwo można sobie wyobrazić jak drogo musiałem płacić za prawo mieszkania we własnym, odnajętym u jednego z miejscowych cukierników pokoiku. Za byle uchybienie porucznik Y. mógł mnie „skoszarować". Przy każdej sposobności groził mi tym. Toteż każdego rana wychodziłem z domu do służby z karabinem i z duszą na ramieniu, drżąc na myśl że nocować będę w fabryce Müllera, gdzie kwaterowała moja kompania. Za źle zwinięty rzemyk na menażce, za złą odpowiedź z „nauki o terenie" lub z taktyki groziło mi rozstanie się z barokowym biureczkiem w mieszkaniu cukiernika, na którym „wyrąbywałem" dziennie po trzydzieści heksametrów. Ale nie dałem się, szczęśliwie ominąłem Scylle i Charybdy Jägerndorfu i nie zostałem „skoszarowany".

Mój drogi, wierny tornistrze, później, po wojnie, po upadku Austrii, w okresie braku skór. pocięty na kawałki przez mego zacnego stryja. Ty chyba nieraz razem ze mną pociłeś się ze strachu, że cenna twoja zawartość zostanie zredukowana do przedmiotów, przewidzianych w regulaminie! Z myślą o Odysseuszu udawałem t.zw. sztramaka i pełniłem swe obowiązki z większą gorliwością, niż ta, na jaką mnie stać było!

Dzisiaj z ręką na obolałym sercu, wyznaję Wam, żołnierze polscy, iż nie przetłumaczyłbym nigdy „Odyssei", gdyby nie wojna i moja służba w zaborczej armii. Wojna i wojsko nauczyły mnie Homera lepiej od moich czcigodnych i znakomitych nauczycieli greki w lwowskim gimnazjum przy ulicy Sokoła. Wojna nauczyła mnie Homera, a Homer wojny.

Józef Wittlin







Andrzej Rubinrot: Na świątecznym urlopie (B.J. 5250)

ODPOWIEDZI

Gdy Wisłę zatrzymał lód,
Gdy ją gnębi śmiertelna głusza,
To cóż może się Wiśle przytrafić ?
Tylko wiosna! I Wisła rusza !

Gdzie są groby i nic, tylko groby,
I łzy oczu, patrzących na nie,
To cóż może się grobom
[przydarzyć ?
Cóż innego jak nie zmartwychwsta-
[nie !
Gdy od wielu posępnych miesięcy
Chmura w chmurę na niebie się
[spiętrza,
Sypiąc grady, niecąc błyskawice,
Tocząc płaczu nieskończone złoża,
To cóż może się zmienić w
[niebiosach ?
— Tęcza błyśnie! od morza do
[morza !

L. K.

Wychodźstwo polskie na FON

W dniu 9. bm. delegaci Zarządu Polskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego w osobach p. Juliana Majorczyka, urzędującego wiceprezesa oraz p. Piotra Kalinowskiego, sekretarza generalnego Komitetu, zostali przyjęci przez Naczelnego Wodza Armii Polskiej, pana generała Władysława Sikorskiego.

Delegaci P.C.K.O. wręczyli Naczelnemu Wodzowi czek na sumę 500 000 frs., jako 3-cią ratę daru wychodźstwa polskiego we Francji na F. O. N., łącznie z wykazem imiennym ofiarodawców.

Ogólne zestawienie wyników zbiórki na F.O.N. przedstawia się następująco:

	frs.
Od dn. 1. września 1940 r. do dn. 1. marca 1940 r. wychodźstwo polskie we Francji zebrało	**1.447.093.90**
Naczelnemu Wodzowi wręczono w gotówce	1.420.000.00

Z polecenia władz wojskowych zakupiono dla wojska:

a) koców za sumę	25.672.00
b) zeszytów i ołówków za .	2.083.00

Zawiadamiając o powyższym, niech nam wolno będzie podziękować ogółowi Wychodźstwa za spełnienie obowiązku narodowego oraz wezwać wszystkich Polaków we Francji do dalszej ofiarności na F. O. N.

Zarząd Główny
Polskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego.

„I znowu będzie to samo niebo"

Poległym Kolegom-lotnikom

Był to drugi dzień wojny.

Mgła ustąpiła. Na niebie wisiało słońce. Prażące, piekielne. Przez trzy tygodnie tak z niego lał się ogień, jak z nas krew. Piloci leżeli pod kadłubami swych „Pezeteli" i z cienia patrzyli w oślepiający błękit nieba, nasycony oczekiwaniem wroga. Tylko ci, którzy stali w alarmie, musieli siedzieć w rozgrzanych maszynach, w kombinezonach, halebach, ze spadochronami, przypasani do siedzeń. Czekali.

Było nas trzydziestu kilku, a maszyn dwadzieścia (jedna uszkodzona w przeddzień wojny, druga zestrzelona na froncie leżała między pierwszymi liniami naszej piechoty). Tym, którzy pierwszego dnia mieli harówkę w powietrzu, dano odpoczynek. Mnie wezwano do dowódcy dywizjonu.

W pięknym salonie pałacu w W....., na stole leży komplet map z siatką sektorów frontu łódzkiego. Co chwila z sąsiedniego pokoju, telefonista głośno powtarza, równocześnie pisząc, fonogram któregoś z posterunków dozorowania o nalocie nieprzyjacielskim.

„Godzina 11,22, kwadrat 21 K — słyszę, — dużo maszyn — wysokość mała — w mgle — nierozpoznane".

Rzeczywiście tam może być mgła. U nas opadła niedawno.

Inny posterunek nadaje w skrócie: „10,30 — 25 — N — widzę — 6 — duża — kierunek 73 — nieprzyjacielskie".

I za chwilę: „10,33 — 26 — N — widzę — 6 — duża — 75"

Więc te same przelatują nad sąsiednimi posterunkami, tylko zmieniły kierunek. Lecą od Wielunia. Chwytam linijkę i mierzę. Przelecieli w trzy minuty około 20 km., a więc robią około 400 km./godz. Lecieli do nas na Łódź, teraz wychodzi, że gdzieś na Radom. Nic tu nie zrobimy. Idą zbyt daleko od nas — nie dopędzimy.

Za chwilę znowu meldunek, znowu i znowu. Tu w dowództwie dopiero widzę i dowiaduję się o naszym bezsilnym ubóstwie. Na całym froncie łódzkim jesteśmy sami — dwadzieścia maszyn myśliwskich. Szybkość max. — trzysta z groszami, uzbrojenie — 2 karabiny. To nasze najlepsze maszyny — do walki i pościgu. A ich? Na Messerschmidt'cie Bf 109 lekko przerobionym, w zeszłym roku Fritz Wendel pobił światowy rekord szybkości wszystkich kategoryj, osiągając 755 km./godz. w linii lotu. Seryjny „Bleistift" osiągał nieco mniej, uzbrojony w działko i 4 karabiny maszynowe. A „Me 110"? Szybkość ponad 600, cztery karabiny i 2 działka do przodu, dwa karabiny do tyłu. Ale to wszystko nic. Tylko czemu nas tak mało? Dajcie chociaż te nasze „Pszczółki". Tylko dużo, dużo! Mamy bronić okręgu łódzkiego, latamy na zasadzki, patrolujemy front. Wczoraj i dzisiaj tak samo. Dzielimy się na klucze po trzy i dwie maszyny nawet, aby sprostać zadaniu. Ale gdybyśmy nawet szli pojedyńczo — jeden na całą wyprawę — byłoby nas za mało; wypraw szło więcej.

Bracie artylerzysto i piechociarzu! Już nie wydaje mi się dziwne, że zestrzeliłeś wczoraj Jasia nad swoimi bróździami, i że mnie zestrzelisz, kiedy będę latał nad tobą, aby ci się grad bomb na biedną głowę nie sypał. Oślepłeś od ognia i nie widzisz naszych znaków, lub oczom nie wierzysz. Boże! oszaleć można.

A tu telefony i telefony. Wreszcie idą i na nas. Gdzieś z południowego zachodu. Dużo — jak głosi meldunek — wysokość średnia. Obliczam, major mnie popędza. Będą u nas za jakieś siedem minut. Telefon na lotnisko: „Wszyscy do maszyn! Klucz alarmowy w powietrze. Czekać na czterech tysiącach nad lotniskiem!" Moment i ryknęła nad dachem jedna ze startujących maszyn, druga i trzecia. Zaraz duch we mnie wstąpił. Czułem się, jak w maszynie. Szampan — to zero. Niech Anglia przysyła te „Hurricany", albo nie. Wszystko szczeniak.

Meldunek! Idą dalej na nas.

Nagle trzy meldunki kolejne. Że jeden, że trzy lecą i wreszcie, że „dużo" na wschód. Co u licha!

Major jeszcze jedną trójkę rzuca w powietrze. Wystartowali momentalnie. Major z taktycznym zadzierają głowy, gonią wzrokiem. Jak ci nasi z entuzjazmem pryskają w powietrze! Aż miło.

Nowy szum maszyn, przelatujących nisko nad nami. Lądują. I zaraz telefon z za parku. Przyleciał klucz z zasadzki. Mieli robotę nad frontem, są bez amunicji i benzyny. Więc idzie rozkaz:

— Natychmiast uzupełnić. Postaw ich do alarmu. Stary klucz poleci na ich miejsce na front. Kluczowi, który teraz poszedł w powietrze, nadaj przez radio, że mają przede wszystkim ubezpieczać walkę pierwszego.

— Tak jest, panie majorze!

Oho! Już słychać strzelaninę nad chmurami. To pierwsza trójka najechała na Niemców. Słychać z nieba pośpieszne szczekanie szwabskich karabinów, to znowu płynne serie z naszych maszyn i grubszy gulgot armatek nieprzyjacielskich. Czasem przerwa, to znowu huragan wszystkiego naraz. Wreszcie wplątuje się w awanturę artyleria. Widocznie dojrzeli ich. Ciężki stęk wystrzału gdzieś z pod dworca kolejowego, drugi, trzeci. I jeszcze trzy. Za chwilę dopiero dochodzą z nad chmur grzmoty rozprysków.

Huk, dudnienie, a tu telefony. Biegnę na werandę, chcę coś wreszcie zobaczyć, ale biją się nad chmurami. Słychać tylko ryk maszyn i strzelaninę.

— Są, są! o, tam, panie majorze! — pokazuje Jeziorowski.

— Widzę... Psiakrew! Artyleria zwariowała!

O, tak! Teraz już ich widzę dokładnie. Wyskoczyli na słoneczną przerwę między chmurami, zadymioną wybuchami pocisków armatnich. Ci się biją, a artyleria strzela.

— Jeszcze zwalą któregoś z naszych!

— Lepiej nie wywoływać wilka z lasu, panie majorze.

A tamci kotłują się w górze. Jakiś dwumotorowiec niemiecki — trudno poznać co to jest — wywija się rozpaczliwą akrobacją dwu „Pszczółkom" (tak je Niemcy później ochrzcili). Za innym goni trzeci z naszych. Między przeciwnikami wiją się smugi od strzelaniny: długie, proste — od karabinów i grubsze, wężykowate — od niemieckich armatek. Chwilami nikną za strzępami chmur lub w ognistych obłokach rozprysków artyleryjskich; wystrzelają w szalonych skrętach, to do góry kołami, to walą się na łeb do ziemi, by znów z rykiem prysnąć pięknym łukiem w górę.

Widać absolutną wyższość zwrotności naszych maszyn. Bijemy ich na łeb, gdy nawet w liczebnej przewadze zechcą przyjąć i stoczyć „bohaterską" walkę. Ale w pościgu — gryziemy palce. Górują szybkością i ogniem. Ich serie, równocześnie z armatek i kilku karabinów słychać, jak długi czerwcowy grzmot. Nasze maszyny ujadają tylko wściekle swymi dwoma karabinkami.

Nagle przycichło. To artyleria wreszcie przerwała ogień.Tamci kropią się jeszcze. Tylko coś przerzedziło się na słonecznej plamie. Nie ma jednego z naszych i Niemca. Nie wiem gdzie są. Nie widziałem całej walki, mimo, że licho mnie nosi od map na werandę. Porucznik zapędza mnie z powrotem.

— Siedź, kiedy ci kazali! Po diabła tu stoisz?! — On niby mnie nie rozumie.

Pionowo z za chmur dochodzi głos silników i grzechot strzałów. Ci gonią szkopów, głos oddala się szybko. I na słońcu cichnie.

Hurra!!! Zaciskam pięści z radości i nienawiści. Niemiec wywinął dziwaczne salto i wali się na pysk do ziemi. Nasz pikuje ostro za nim i strzela. Lufy Szwaba milczą, tylko maszyna przeraźliwie wyje coraz niższym basem. Zasłoniły ich drzewa parku.

Za chwilę maszyny idą do lądowania. Siada jedna, później druga, za chwilę nadlatuje trzecia i czwarta. To wszystko? Nie. Nadlatuje nisko jeszcze jedna maszyna, zatacza rundę i siada. Brak szóstej.

Czekamy i nadsłuchujemy — cisza. Indywidualista. Zawieruszył się gdzieś pewnie i pałęta się po niebie. Major dzwoni do maszyn. Stoję przy telefonie, więc słyszę odpowiedzi.

— Dornier prawdopodobnie zestrzelony.

— Tak, to sprawdzimy.

— Trzy maszyny niezdolne do lotu. W dwóch poważnie uszkodzone silniki przez odłamki granatów własnej artylerii lub z działek niemieckich. Trzecia — przestrzelony zbiornik. Czwarta nie wróciła w ogóle. Piotr Ruszel nie wrócił. Pewnie zaraz przyleci.

Ale upłynęło pół godziny i cała, i dwie — cisza. Niemcy też jakoś przycichli w południe. Piotr nie wrócił. Dopiero wieczorem przywieźli go. Prosto do kostnicy. Konto artylerii.

Po południu zaczęła się prawdziwa harówka. Maszyny startują to tu, to tam, na pojedyńczych i na trójki, lądują i znowu idą w górę. Mechanicy pewnie wyłażą ze skóry, aby zdążyć ze wszystkim. Tu oliwa, tam benzyny, znowu zastrzyk, lub amunicja. Prędzej! prędzej!

A ja tu siedzę. Znowu przy mapie. Jestem wściekły. Wreszcie Rysiek, który niedawno wrócił z podziurawionym przypadkowo cylindrem, zastępuje mnie na chwilę, abym mógł połknąć coś z obiadu. Idę obok, do naszej sypialni. Żołnierz przyniósł mi zupę w menażce z mięsiwem, chleb i czarną kawę. Siadam na łożu małżeńskim, które dzielę ze Zbyszkiem i usiłuję zmusić się do jedzenia. Z salonu słyszę zmęczony głos telefonisty. Coś tam gdzieś leci. Utkwiło mi w uszach jedynie: „dziewięć" i „bardzo wysoko". Alarmują nas o nieprzyjacielu, który przechodzi może sto kilometrów obok nas. Z naszą szybkością? Ale słyszę głos mego zastępcy:

— Panie majorze, idą na Łódź! Na Łódź!

— Rzeczywiście, tak to wygląda. Są daleko. Poczekamy czy nie zmienią kierunku.

Chwyciłem haubę z łóżka, okulary i na palcach wyślizgnąłem się z pokoju. Nikt mnie nie zauważył. Mam dosyć tego bezpłatnego patrzenia na to, jak biją się moi koledzy.

Przy maszynach ruch, jak cholera! Sześć gotowych, przy trzech jeszcze mechanicy grzebią, kilka uszkodzonych, reszta na froncie. Z mojej maszyny z trudem wypędziłem młodego kaprala-pilota. Sprawdzam amunicję, ciśnienie powietrza, zapinam pasy — gotów. W innych też już siedzą. Nie startujemy, bo wyprawa podobno skręciła.

Aż nagle widzę, jak mechanicy wskazują na niebo i krzyczą. Widzę! Przyszli z innej strony. Kontakt, kran z powietrzem i kręcę za rozrusznik. Raz, dwa — obróciło się śmigło, rzygnęły spaliny z kolektora. Chodzi. Obok również, dalej trzecia. Daję gazu — aż tu mechanik wybiega mi przed śmigło. Zamknąłem hamulce — co u diabła? Daje mi znak: wyłączyć! Oszalał?!

Ale przed maszyny wychodzi dowódca mojej eskadry. I ten rozkłada ręce — wyłączyć! wyłączyć! Walę się w łeb z wściekłości, klnę, na czym świat stoi.Z taką samą wściekłością wyłączam silnik. Maszyna prychnęła, śmigło odbiło do tyłu — stoi. Tadzio obok postukuje się jeszcze w pałkę i pokazuje w górę.

Widzę. Dziewięć Messerschmittów 109 śmiga górą to tu, to tam. Mają ze cztery tysiące wysokości. Połyskują w przedwieczornym słońcu, jak błyskawice.

Mechanik z pomocnikiem podbiegają do maszyny.

— O co tam chodziło? — krzyczę.

— Nie wiem!

Piorunem pompują mi do Vieth'a powietrze.

— Trzydzieści pięć atmosfer! — wrzeszczę znowu.

— Trzaśnie, panie poruczniku!

— Niech trzaśnie! Odbiła stara krowa. Niech trzaśnie, a musi skoczyć, kiedy trzeba będzie.

A Messerschmitty pławią się w słońcu. Śledzimy je wzrokiem wrzyscy. Do kabiny zagląda dowódca.

— Czego pan startuje bez rozkazu?

— No jakże nie startować?...

— Przyszli nas wywabić w powietrze. Widzi pan, jak wysoko? Ha? Wystartujecie, będą was włóczyli i albo zleją, albo wylądujecie, ale bez paliwa, bez amunicji. Przyjdzie bombardowanie lotniska i zerżną dywizjon na amen. Czekać na sygnał. Włączyć radio po starcie!

I po chwili:

— Nasz cel — to bombardierzy. Przez walki z myśliwcami sami się wytłuczemy, a Dorniery dopiero będą hulać!

— Tak jest! — ale nie przekonywało mnie to wszystko.

Messerschmitty dalej buszowały po okolicy bezkarnie, ale nieszkodliwie. Wreszcie zgubiłem je z oczu.

Nagle sygnał: „zapuszczać!" Co, próbny alarm, czy co? Teraz, kiedy Szwaby odleciały. Zakręciłem — kochana krowa skoczyła. Pokazują pośpiesznie — start! Startuję. W powietrzu dołączamy do szyku. Jest nas sześciu.

W KOŚCIELE

Madonna w fioletowych gazach, martwe anioły nad ołtarzem
Przez okna w kolorowych szkłach wiosna słoneczne mgły rozpina
W kadzidłach mszalnych pachną bazie i widać las za górą siny,
Wiatr w organ dmie głosem wierzbiny
Od tego wiatru schnie już darń i małe kwiatki z miedz wyłażą.

Kotnych zajęczyc idąc śladem, między bezlistne pręty gajów
Rozgniatam przeźroczysty lód, rannym przymrozkiem w strzały cięty
Górą, wysoko nad polaną, słońce arkady chmur umaja
Na kryształowych rozestajach . . .

W mieście dalekim, u ołtarza, przed Panną w fioletowych gazach
Patrzę strwożony na anioły o złotych skrzydłach, martwych twarzach.
Gotyckie ostrołuki szkieł w marcowych godach światłem rosną
O jakże smutne te modlitwy
mój smutny kraju, smutną wiosną . . .

Mieczysław Lisiewicz

Włączam radio.

— Tadek, Kazik! — tu Ewa. Tadek, Karol! — tu Ewa. Lecieć na Pabianice, nabierać wysokość. Z południowego-zachodu duża wyprawa bombowa. Powtarzam. Lecieć na Pabianice... itd.

Skoczyłem, jak ukłuty. Załadowuję karabin prawy, lewy. Lecimy na płd.-zachód. Szybkość mała, maszyny zadarte, aby tylko wysokości nabrać. Każdy się skupia. Sześć par rąk, sześć mózgów pracuje z natężeniem. Oczy szukają po niebie.

Wreszcie dostrzegliśmy wroga. Wydaje się, jak azjatycka szarańcza. Wali chmarą, masą. Górą suną trzy klucze, za nimi jeszcze dwie luźne sztuki. Dwusilnikowe dolnopłaty. Ciężkie Junkersy. Dołem dwie trójki jakichś mniejszych. A daleko na horyzoncie jeszcze sześć sztuk. I te „Bleistifty" tu gdzieś po okolicy się kręcą.

I jedne i drugie są grubo wyżej od nas. Drapiemy się cierpliwie do góry. Chcielibyśmy dojść do tych górnych, ale i do dolnych jeszcze daleko. Pędzą na przód. Są coraz bliżej, wielkie, szare. To Messerschmitty 110. Idą z zadartymi łbami. pięćset metrów wyżej, jakby ich piloci nas w ogóle nie widzieli, jakby chcieli zignorować i przejść nad nami dalej.

Zapatrzeni w nich, dociskamy manetki, „busty", gnieciemy knyple — byle wyżej, byle bliżej. A szybkość pozioma coraz mniejsza. „Zlitujcie się dranie, zniżcie się! Bijcie się z nami!"

Rzeczywiście zniżają mordy i na pełnym szusie pikują na nas. Automatycznie rozluźniliśmy się. Jestem na prawym skrzydle. Leci na mnie potwór. Z trzech paszcz błysnęło, sześć luf rzygnęło ogniem. Oślepiło mnie, hurgot w uszach. Oddałem, położyłem. Mignął obok i daleko w dole za mną zawija skręt.

Hurra! Wszyscy jesteśmy nad nimi. Oni w dole. Bokiem wam wyjdzie ten pełny gaz! Ciągną pewnie stery dwoma zębami, ślepia wyłażą na wierzch, gniecie w dołku. Kapie wam pot z pysków? Tak, znam to!

Zawinąłem ciasno przez plecy i jeszcze pół krzywego loopinga. Mam go na celowniku na samym krzyżu!!! Ściskam spust na knyplu. Nerwowe wstrząsy kadłuba i płynny łoskot. To moje karabiny grają. Jego strzelec grzmi do mnie. Zaciskam zęby. Jestem, jak pijany. Widzę tylko jego. Szaro-zielony potwór i to drapieżne godło na ogonie: czarne macki — zapełniają mi oczy. Przerywam, poprawiam i znowu kadłub drga od strzałów.

Ryknęło nad głową. Oprzytomniałem. O cholera! To nowi. Sześć sztuk wypakowało się w nasze kłębowisko. A górą suną te ciężkie. Chyba się nie odważą zejść w to piekło. Od dołu ciągnie nam pomoc. Dwie nasze.

Mój z przed nosa zwiał, skręcił znowu. Pilot bierze mnie na cel z boku, ale nie daję się. Ślady strzałów pokrywają się — moje i jego strzelca.

Ale... i trzecie wplątują się nieco z tyłu. Ściga mnie inny. Zaczynam się bronić przed tym, to tamten mnie goni, więc biorę się za niego już drugi siada na plecy. Podają sobie mnie, jak gracz piłkę — z pod dwu luf wpadam pod sześć i odwrotnie. Zaczyna mi być gorąco. Nawija się trzeci, prosto na lufy. Puszczam tamtych, strzelam do tego. Przelatuję tuż pod nim i dostaje się niebacznie w smugę karabinów kolegi, który praży w Niemca. Kopnąłem sterami. Szurnęliśmy obok siebie. Chcę strzelać dalej — stop! Przeładowuję karabiny raz, drugi — nic! Amunicja.

Ląduję. Wrzeszczę o amunicję. Pokazują mi bombowce, które lecą nad nasze lotnisko. „Chować się!" ale Zuber ładuje mi pośpiesznie maszynę. Tadzik już startuje z nową amunicją. Bomby upadły na oraninę, kawał od lotniska.

Startuję, idę do góry. Nie trzeba się już tak piąć, bo walka toczy się nisko, ale lekka przewaga przyda mi się. Widzę z daleka kogoś w opresji. Goni za jednym Niemcem, a dwaj inni zaczynają z bliska, z odległości metrów po prostu do niego prać. Pomacali go, zdaje się, bo wywrotem poszedł do ziemi.

Inny bije się z dwoma, dalej to samo. Skoczyłem w środek kłębowiska. Pomagam to jednemu, to drugiemu. Oczy latają na wszystkie strony, chwytają w lot każdą sytuację i przekazują na ręce. Myśl przestała pracować, jest zbyt wolna. Mięśniami rządzą odruchy, instynkt.

Wtem błysk i płomień. Chryste! Nasz się pali!!! „Czwórka" się pali! Dzwonek tam siedzi. Był na zasadzce, przyszedł nam w pomoc i sam leży. Może jeszcze wyskoczy. Ale ognista kometa idzie do ziemi, jak licho. Tylko ogień i dym za nią się ciągnie. Nagle rozkwitł biały jedwab spadochronu. Dzięki Bogu!

Co to? Strzelają do niego Messerschmitty? Na spadochronie?! O, sk... syny!!! Bydlaki!!!

I bliżsi rzucili się na ratunek, ale młody Malinowski już ma zbrodniarza i daje mu cięgi. Niemiec dał w gaz do ucieczki. Przed karą, która go jednak nie ominęła. W parę minut zostały z niego całe tylko końce płatów i ogona. Wkrótce i następny został strącony. Reszta zwiała. Wylądowaliśmy.

— Dzwonek żyje. Jest w szpitalu — mówią nam. Po południu poleciał na zasadzkę. Około 16,00 wystartował z Edkiem Kramarskim na Heinkle 111, które szły obładowane bombami. Nie zauważyli jednak, że za nimi szły Messerschmitty. Te podeszły blisko, oddały po kilka seryj i skończyło się.

Edek został zestrzelony, a Janek doleciał do nas i kiedy zobaczył, że się bijemy, i on poszedł do walki, nie zwracając uwagi na przestrzeloną nogę i kiść ręki, no i na posiekaną maszynę. Kiedy maszyna stanęła w płomieniach, był tak osłabiony, że w ogóle nie chciał skakać. Wszystko było mu już obojętne. Pali się? A, niech tam diabli!... Ziemia blisko, podsmaży się trochę, grzmotnie i koniec. Nasi nawet nie poznają, że to on był. Przeliczył się jednak — ziemia była dalej. Ból palącej się twarzy, rąk i kolan wypędziły go z maszyny. Ranny, poparzony, ale może będzie żył.

Pokłóciliśmy się z Tadkiem o tego Messerschmitt'a. Udawadniałem mu, że ja zestrzeliłem, on przeciwnie. Wprawdzie „szyliśmy" po nim obydwaj, ale jakieś dobre dwa kilometry przed finałem byłem tuż za nim. Leciał tylko na lewym silniku. Aż wreszcie trafiłem i pilota, bo rąbnął w torfy, aż się na kawały rozleciało gracisko. Tadek dopiero wtedy nadleciał.

Na końcu przegadanki zaproponował spółkę. Po tej walce miałem takie święto w sercu, że byłbym mu dodał jeszcze dwa „Dreideckery" z wojny światowej dla świętego spokoju.

* * *

3-go września przybyły nam dwa Henschle 126, które zestrzelił Prętek i Urbańczyk przy froncie. Chłopaki cieszyli się jak zwariowani.

I mój Ju 86. Nic chwalebnego zresztą. Tylko cierpliwość. Wziąłem go przez zaskoczenie. Był na pięciu tysiącach metrów, kiedy ja miałem niecałe dwa. W tej chwili, gdy radio kazało mi lądować, błysnął wysoko w luce między chmurami. Wrzasnąłem do mikrofonu „Mam go!", zostawiłem swych bocznych, wrzepiłem gaz i stale pod nim i pod nim, coraz wyżej i bliżej. Z wstrzymanym oddechem, aby go nie spłoszyć — doszedłem.

Zauważył blisko. Strzelec zaczął rechotać z armatki, pilot dał gaz do ucieczki. Grzmiałem długo, cierpliwie — na coraz dalszą odległość. Uciekał. Śmiali się pewnie wszyscy czterej. Wystarczy im tego śmiechu na całe życie... pozagrobowe. Rozluźniłem dopiero dłonie i szczęki, kiedy stanął w płomieniach. Puściłem spocone rękawiczki. Maszyna sama poszła do góry, zawisła. i zwaliła się do ziemi! Położyłem ręce na kabinie, głowę na owiewce.

Taki przyjemny wiatr...

* * *

4-go września przyszła zemsta. Mieliśmy sporo maszyn w reperacji. Kilka na zasadzkach, reszta poleciała na wymiatanie. Zostały dwie.

Koło południa zjawia się Dornier. Jeziorowski, który był na lotnisku wskoczył do maszyny i w górę. Za nim Zdzich. Gonią, strzelają. Poszedł do ziemi: Musi leżeć! Tak przecież smugi Zdzicha i dalsze — — naszego taktycznego — w nim tonęły.

Och! Idą Messerschmitt'y 109. Dojrzeli ich nasi. Uderzają na pierwszego, wali się na nich reszta. Dwóch przeciw dziewięciu. Rozdzielili naszych. Zdzich gdzieś spadł. Wszystkie na Jeziorowskiego. Bohaterzy! Potraficie z 45-cioma lufami iść na dwie.

Wywijał mu się długo. Kapitan pomagał im przez radio. Odnosiło skutek, ale... Tadzio zaczął balansować. Widać, że ręka szukała sił w mięśniach i nie znalazła.

— Ląduj, ląduj!

Posłyszał jeszcze. Ostatkim sił zrozumiał. Wpoprzek bruzd podszedł do lądowania. Nie ślizgał się z fasonem, po swojemu. Tylko kiedy jeszcze przeszli kolejno nad nim i rzygnęli ogniem, poszedł na łeb do ziemi. I z ognia wydobyliśmy krzywą miniaturę.

Spalili nam kilka uszkodzonych maszyn na lotnisku.

Wieczorem mieliśmy w kaplicy szpitalnej pożegnanie z Jeziorowskim, Ruszlem i Kramarskim. Leżeli cicho. Jak gdyby nie czuli spalonych nóg, nie widzieli swych poszarpanych od kul mundurów i tych luźnych strzępów ciała.

* * *

Piąty dzień wojny.

Nie mamy maszyn, ani radiostacji. Z kilkoma poszatkowanymi samolotami podrywamy się jeszcze na mniejszego nieprzyjaciela. Pojedyńczo. Ale teraz idą już tylko duże wyprawy.

Właśnie z daleka ciągnie po niebie głuche dudnienie. Coraz bliższe, potężniejsze. Brzemienne w bomby, kule, zniszczenie, śmierć. Suną znienawidzone bestie. Rycerze walczący o „Lebensraum". Dajcież im nowy szmat Europy, aby mieli gdzie osadzić niewolników, których jutro zażądają. Goebbels już to wykombinuje, że to wszystko było ich, zanim jeszcze z Azji przyszli.

W przerwie między koronami drzew widać wysoko czoło wyprawy. Liczymy:

— Trzy, sześć, dziewięć, dwadzieście, piętnaście... Chryste! — trzeba przełknąć ślinę, by liczyć dalej:

— Dwadzieścia siedem.

Lecą trójkami w długiej kolumnie, błyszczą w prażącym słońcu.

Gardło ściska głucha, bolesna nienawiść. Bydlęta!... gdy byście wy znali jej ogrom!... Gdybyście wiewiedzieli, jak długo tę nienawiść będziemy nosili w piersiach.

Apatia. Znowu głuche dudnienie, przesiąknięte jak szloch — łzami, strachem, bólem. Wracają łotry. Jak rzezimieszki z „mokrej roboty". Z umazanymi w krwi ludzkiej łapami. Może nawet w małpich żuchwach mamlą gumę. I jeszcze im słońce świeci. To cholerne słońce! Bezrobotni piloci gonią tylko wzrokiem bezsilnym i zmęczonym — bandycką karawanę. Tamci odlatują spokojnie, obojętnie. Nawet kamieniem nie można w nich rzucić.

Czesław Główczyński

LISTY ŻOŁNIERZY DO DZIECI

Między wielu żołnierzami obozów polskich, a dziećmi polskich emigrantów we Francji zawiązała się wzruszająca korespondencja. Jest ona napewno nie najmniej ważną drogą zbliżania, jednoczenia się wszystkich Polaków, przebywających na gościnnej ziemi francuskiej - w jednym akcie miłości do Polski, w jednym akcie woli służenia Jej sprawie.

Z tej korespondencji ogłaszamy jeden list, aby został na świadectwo, aby stanowił wzór i zachętę. *Redakcja*

Dnia 25. 12. 1939 r.

Kochana Trudeczko!

Przede wszystkim to Cię przepraszam mała Trudeczko, że Cię tak będę nazywał to jest „Mała" i „Kochana", bo gdybyś Trudeczka nie podała daty urodzenia to bym się Jej nie ośmielił tak napisać. Przeto myślę, moja maleńka, że biednemu żołnierzykowi wszystko wybaczysz i choć mi odpiszesz, że ten list otrzymałaś. Będę się bardzo cieszył, gdyż do mnie nikt nie pisze.

Pewno pomyślisz, skąd może znać „maleńką " Trudzie jakiś tam żołnierz. Otóż zaraz Ci wytłumaczę. Otrzymałem małą paczkę świąteczną, czyli gwiazdkę. Otóż w tej paczce był duży zeszyt ciemno fioletowy. Byłem niezmiernie ucieszony, gdyż o papier jest stosunkowo trudno, a jestem w Szkole Podoficerskiej Artylerii, co mi się niezmiernie przydał. Zeszyt wewnątrz na okładce miał umieszczony adres, na który kreślę ten oto list do swej Małej Gertrudy, która jest urodzona w roku 1928. Co zaledwie masz moja maleńka jedenaście lat, ale to nie szkodzi i nie jest mi wzbronione napisać do maleńkiej Trudy.

Przede wszystkim Maleńka Trudo! dziękuję Ci za dobre serduszko, że nie zapominasz o żołnierzu polskim, który musiał tyle ucierpieć, który jeszcze raz będzie się musiał zmierzyć z przeklętym szwabem. Jednak Maleńka możesz być dumna, że jesteś Polką, gdyż jesteś obywatelką Polski, która okryta jest sławą i jeszcze krwawo zapisze się na kartach naszej historii. Musimy pomścić te zbrodnie, jakie popełnili na naszych matkach, ojcach naszych rodzicach, dzieciach i starcach, których germańskie czołgi i karabiny maszynowe bezlitośnie mordowały. Otóż Trudziu musimy pomścić te zbrodnie i uczynimy Wolną Polskę, gdzie będziemy mogli swobodnie siedzieć przy ciepłych kominkach, i nucić „Bóg się rodzi", albo „Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj". Mamy nadzieję Malńka, że na przyszłą wigilię nie będziesz przesyłać paczek dla nieznanych żołnierzy.

Teraz Trudziu napisz mi, czy masz Rodziców, gdzie pracują. Jak dawno jesteś we Francji, czy tęsknisz do Polski i czy mi maluśka pozwolisz, kiedy jeszcze do siebie napisać. Przeto kończę ten list i jeszcze raz podkreślam Twoje dobre serduszko i patriotyczne uczucia. Kończąc ten list, załączam moc życzeń Noworocznych oraz wszelkiej pomyślności.

Kreślę się z szacunkiem i poważaniem

Augustyniak J.

P. S.: — Mała Trudziu proszę mi napisać, ilu masz braciszków i siostrzyczek. Również się zapytaj Rodziców swoich, czy Ci pozwolą odpisać a zarazem proszę się kłaniać tatusiowi i mamusi. List pisać możesz bez znaczka, tylko trzeba zamiast znaczka napisać dwie litery, takie *F. M.* to jest *Franchise Militaire.*

Jeszcze raz załączam miłe pozdrowienia dla wszystkich Twoich znajomych. *Wielunianin*

Za Lublinem

Od Lublina do Lwowa szły za nami obrazy bombardowanego miasta. Im bardziej oddalaliśmy się, tym bardziej rosły, wypełniały się szczegółami i krwią. Pociąg szedł wolno, okrężnie, na małych stacjach doganiali go ludzie, którym starczyło ben zyny tylko do tego miejsca i którzy zostawiali na drodze swe samochody Doganiali go nawet ci, którzy przy lubelskiej rogatce schwytali furmankę i gnali przed siebie pogubiwszy bagaże, krewnych, przyjaciół. Poznałam kobietę, którą widziałam leżącą na schodach w hotelu i którą zapamiętałam, ponieważ uniosła głowę i wskazując mi miejsce obok siebie na czerwonym chodniku zażartowała:

— Zawsze to hotel, i to pierwszorzędny, a to — plusz!

Teraz miała szczęki konwulsyjnie zaciśnięte. Kiedy mówiła, zęby ocierały się o siebie, krztusiła oderwane słowa:

— Bomba w hotel... pękł... schody.... w powietrzu.... krzyczeli....

Przymknęła oczy i dygotała na całym ciele. Pokazywała drżącymi rękami, jak ją ktoś sprowadził z walących się schodów, nagle uniosła połę płaszcza i wskazując na ciemną plamę szepnęła:

— Mózg....

Zjawili się ludzie, którzy dziwnie mrużyli oczy, kiedy ktoś zapalał zapałkę lub kiedy wieczorem na stacji rozbłysło światło małej lampy. Zdawali się mieć jakąś niewidzialną ranę w oczach. Opowiadali, że paliły się nie tylko domy. Odłamki bomb zapalających uderzały skupioną masę samochodów. Trzymając dłonie na oczach mówili, że wybuchały zbiorniki z benzyną, pękały szklany wozów, samochody paliły się, jak sterty słomy, środkiem ulic płynęły potoki płomieni, chwytały się ludzi, którzy wybiegali z walących się domów, dzieci krzyczały brnąc w strumieniu palącej się benzyny. Paliły się także składy benzyny.

Wylatywały szyby z okien, ulice zasłane były odłamkami szkła, całe miasto pełne było skrzypu i ludzi, których twarze i ręce zalane były krwią. Krew zalewała oczy i oślepłe gromady ludzkie biegły przed siebie. I dzieci, dzieci.... Zdawało się, jakby na nich przede wszystkim skupiło się nieszczęście, dlatego, że były małe, że twarze ich były blisko ziemi. Szklane drzazgi rozrywały skórę, wpadały do oczu.

Miasto leżące z dala od przewidywanego frontu, nie posiadające ważniejszych obiektów wojskowych nie było przygotowane, przekroczyło granicę wojny i pokoju w dziesięciu minutach i zerwało się na nogi w samą sądną chwilę. I w tej chwili — jak wszędzie w Polsce — uniosła je fala bohaterstwa i poświęcenia. Mówiono, że kolumny sanitarne szły ulicami, które jeszcze drżały od huku bomb i walących się domów, syczały od płomieni pożarów. Rannych znosili chłopcy, dziewczęta, starzy Żydzi w chałatach, księża, robotnicy, chłopi, służące. Drzwi sklepów otwarto szeroko i lady zamieniono na ambulatoryjne stoły Apteki były jak szpitale, rany opatrywali lekarze aptekarze i kobiety szybko i milcząc. Ludzie nie jęczeli, dzieci nie płakały. Kiedy podniósł się krzyk, mnich, który wybiegł z kościoła, wołał, że pali się kościół, że trzeba gasić a nie krzyczeć I zamilkli. Wśród ludzi była cisza, pękały tylko bomby, huczały głosy zniszczenia, rozdzierane domy wydawały kamienne przedśmiertne jęki, syczały z bólu palące się dachy i szalała nad miastem dzika fanfara barbarzyństwa, okrucieństwa i podłości.

Stary Żyd siedział na stacji zapatrzony przed siebie i jakby nic nie widzący. Jakiś robotnik kolejowy kręcił się koło niego, potrząsał jego ramieniem, a potem postawił przed nim szklankę herbaty. Rozglądał się bezradnie i powiedział:

—Nie wiadomo co z nim zrobić, nie chce ani jeść, ani pić.

Żyd potrząsał brodą, chciał coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie głosu. Robotnik mówił, że go zna, że to krawiec z Lublina. Że bomba uderzyła w dom, że w domu była żona i dwaj synowie. Wtedy Żyd zaprzeczył:

— Tylko żona była w domu — wykrztusił.

— A gdzie byli synowie?

Pokazał ręką, że wyszli, że byli na ulicy.

— Bo tam były dziury od bomb, to oni zasypywali, żeby można było rannych wozić....

Spojrzał zamyślonym wzrokiem, jakby rozwiązywał trudną zagadkę i powiedział:

— Ten dom, gdzie była moja żona, to się zawalił na moich synów....

Ulica, gdzie były domy z barokowymi kartuszami, która wiodła do kościoła, a potem dalej do komendy zniszczona jest po jednej stronie, właśnie po tej, gdzie o szóstej rano kładł się pas słońca, a woda, którą stróże polewali bruk, parowała szybko. Zniszczone są stare uliczki o falistej linii biegu, gdzie każdy dom wysuwał kamienną stopę filaru, by oprzeć się mocno o ziemię i stać mocno przez wieki. Spalone są dachy o wystających okapach, jakby uważ nie wpatrzone w dół, nigdy nie oczekujące niebezpieczeństwa od góry. Zniszczone są piękne renesansowe sgrafitta. Pękła renesansowa brama miasta. W żydowskiej dzielnicy, gdzie były gotyckie mury, a ciasne podwórza obramione były renesansowymi gankami, gdzie gęsta masa domów poprzerzynana jest tylko wąskimi uliczkami — posłowie Hitlera spełnili swe zadanie świadomie i łatwo. Jedna bomba zamieniała w gruz od razu trzy domy, dwa obok siebie i jeden z przeciwka, ludzie skupieni byli gęsto, krew spływała obficie i wsiąkała w ziemię.

Kiedy praliśmy bieliznę pod studnią, przyszedł stary człowiek i zaczął odwijać bandaż, którym przewiązana była ręka.

— Trzeba uprać — powiedział — bo się zabrudził.

Rana nie była groźna i już nie krwawiła. Czekając swej kolejki człowiek stał i podniósł do góry bladą pooraną twarz, jak prorok, mówił biblijnym patosem, rysował zawile obrazy, w których z góry, z nieba schodził Antychryst, trzymając w ręku nie miecz, ale bomby, z czary lał na ziemię zapaloną benzynę, a duchy piekielne nie grały na trąbach, lecz warczały jak motory.

— Wszystko tak było, jak powiedziano — mówił. Był w kaplicy kościoła Karmelitów. Ludzie chronili się do kościoła. Szept modłów urastał do chóru i wołano ku Bogu: — Od pomoru, głodu, ognia i wojny - uchroń nas Panie! Od śmierci nagłej - uchroń nas Panie! I - bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi! Huknęło raz, drugi.

Człowiek pochylił głowę, jakby ją jeszcze teraz chciał uchronić. Mówi, że z góry leciały kamienie, że kruszyło się sklepienie, że pękały gzymsy i łamały się filary — mówi to głosem nabrzmiałym, wielkim, jakby opisywał malowany obraz, wyciąga ręce unosząc wstęgę bandażu i szepcze:

— Powiedziałem, weź Boże mię starego i uratuj młodych i lepszych ode mnie. Przyjm moją ofiarę. Patrzę w górę — a tu — niebo. Niebieskie. I myślę — umarłem, Bóg dał mi dobrą śmierć.... Ale dotykam ręki, ciepła, mokra.

Zwiesza głowę.

— Bóg nie przyjął mojej ofiary.

Pochyla się, pierze bandaż uważnie:

— No bo i co taka ofiara, Pana Boga byle czym nie oszukasz....

Nagle podnosi pięść, po której spływają brunatne krople krwi i błota i woła:

— Antychrysta trza zabić! Jego kości trza rozrzucić po ziemi! I spalić trza piekielne sługi, żeby wiatr popiół roznosił!!

Stefania Zahorska

*) Wyjątek z przygotowywanej powieści.

Odżegnanie się od bluźniercy z Berchtesgaden

Pan Adolf Hitler w swoich ostatnich mowach coraz bardziej w piętkę goni. Uważa się bezczelnie za pupila i pieszczocha Opatrzności, krnąbrnego wychowanka, na którego psie figle trzeba patrzeć przez palce. W razie czego, wierna opiekunka Opatrzność pomoże mu i jego narodowi wykręcić się sianem. Przez ogrom nieskończoności czekała na jego narodziny, by dać folgę swemu nieziemskiemu pobłażaniu.

Już parę razy zdarzyło się zupako wi z Berchtesgaden, napomknąć o swoim podobieństwie do Chrystusa. Pomijając bluźnierstwo tego „kieszonkowego" antychrysta, opętanego przerażeniem przed nadchodzącym jutrem, musimy uśmiać się z rzezimieszka, któremu łotr wiszący pa lewicy Ukrzyżowanego nie podałby ręki, jak usiłuje owiać się mgłą boskości. Przypuszczamy, że nawet Niemcom przyzwyczajonym do „ersatzów" taka przemiana gada w uosobienie nadludzkiej wszechpotęgi stanąć musi w końcu kością w gardle. Można od biedy dokarmiać się sztucznymi jajami zrobionymi z ekskrementów wieloryba, masłem wyprodukowanym ze smoły pogazowej i mąką ze zmielonych trumien, lecz mieć za bóstwo starego pederastę z wąsikiem, to jest ponad siły nawet dla niemieckiej trzody.

Nie pisalibyśmy o tym, by nie podbijać bębenka nędznej kreaturze czasów wyjałowionych z ludzi na prawdę wielkiego kalibru, gdyby nie to, że zbliża się Wielkanoc. W świetle wszechogarniającej miłości, wyzwalającej w każdym człowieku poczucie najwyższej swobody, godności każdej jednostki, jakże na karkoniego pośmidrąga wygląda ten facet, któremu ubrdało się, że wypił „bruderszaft" z Opatrznością. Niknie on w naszych oczach, zapada się w głąb sekretnych ubikacyj piekła, nie tylko jako pseudowielkość, ale także jako groza i szatańskość. Doprawdy musiał świat bardzo się spodlić, skoro tego pokroju indywiduum mogło zrobić karierę. I to nie tylko w Niemczech, w kraju mechanicznych robotów i mózgowego „platfusa", ale i gdzie indziej, na obszarach zamieszkałych przez wolne ludy.

Wojna rozwiała ten czad trujący. Bliski „kuzyn Opatrzności" zdemaskował się i ukazał swoje oblicze. Już nawet nie przerażenie, ale obrzydzenie ogarnęło zachód Europy, powiało przez oceany ku najdalszym zakątkom globu. Wszystko to, co ceniliśmy i kochamy, wszystko to, co stanowi szczęście i radość jednostki, co jest jej prawem i bogactwem zostało szczurzym ząbcem „fuehrera" podgryzione. Mętny bigosik wiadomości, zachwyconych z różnych pism uczonych i wariatów, miał stanowić nową biblię dla człowieczego plemienia.

Nie ulegajmy złudzeniu. Kościół Katolicki w przeciągu dziewiętnastu wieków borykał się z przeciwnikami dużo większej klasy i powalił ich. Walczyli z nim ludzie o potężnych mózgach, genialne jednostki, zatrute pychą i zbrodnią. Jakże by teraz miał się przerazić osobnika o owadziej duszy, półanalfabety, torującego swoje krecie dróżki wśród próchnicy zmurszałego świata.

Nadchodzą dni Zmartwychwstania Pańskiego. Dźwiga się z ziemi i na niebie zakwita znak wielu najistotniejszych prawd i tej, że dusza ludzka jest boskiego pochodzenia, każda poszczególna, ukryta w nawet najbardziej rubasznej skorupie. Ponad ziemską walką o byt szumią skrzydła Miłości i Miłosierdzia, cichej pogody pojednanego z Bogiem człowieka.

Zapomnijmy o tym stworze z pod znaku swastyki. Nie jestem na tyle świętym, bym mu przebaczył. Mogę o nim nie myśleć, ale przestać go nienawidzieć nie jestem w stanie. Wolę zgubić na dwa tysiące lat czyśca, niż uznać w nim człowieka, odkupionego przez ofiarę Chrystusa.

Nie lękamy się rzeczywistości. Kto wie ile jeszcze wiosen dzieli nas od powrotu do Ojczyzny. Ile ofiar poniesie świat, by zdeptać tego grzechotnika.

Wiemy jednak, że gdybyśmy wkraczali w najbardziej ponurą jesienną noc do kraju, będzie ona dla nas wiosną już nie Ofiary, ale Zmartwychwstania. Przyniesiemy z sobą te stare prawdy, które na nowo kozrenią się w glebie wolnych, prawdziwych narodów, szanujących prawa jednostki, boskie jej pochodzenie i posłannictwo. Zapomnimy o „totalniakach" odpowiednich dla blonkoskrzydłych, o niewoli ducha, o pokracznym cieniu „wodza", o mrokach rozpaczy narodu zamkniętego w domu niewoli.

Nie będziemy mieli jednak prawa zapomnieć o nędzy świata, gdy ten obłąkany czarcim pomiotłem gubi szlak wędrówki człowieka do Boga. Będziemy patrzyć na łapy chwalców pały i topora, na oblicza rozzuchwalone bezkarnością i pobłażaniem ludzi dobrych i łagodnych, nieświadomych zakusów ciemnych mocy. Nie pozwolimy, by nowe Zmartwychwstanie mogło zostać unicestwione przez bandę ciemięzców i zbrodniarzy.

Co do mnie muszę się przyznać, że lękam się o moje zbawienie. Nie mogę sobie wyobrazić jak się zachowam, gdy na dolinie Józefata spotkam się nos w nos z Adolfem Hitlerem. Będę błagał Boga, by mnie uczynił jeżem morskim, nawet tasiemcem, bym mógł tylko z dala od tego wycirusa przebywać. Może strzelę go w mordę i wyniknie z tego taka chryja, że pójdę do ciupy na wieczność i sześć tygodni. Lecz jeżeli Dobry Pan Bóg ma litość nad nami Polakami i nie tylko nad nami, ale także nad resztą uczciwego świata, to u czyni cud i uzna jedno swoje stworzenie za niebyłe. Zdmuchnie je i rozwieje w nicość, tak, by nawet tam, bez różnicy, czy w niebie czy w piekle, ta zakała rodu ludzkiego nie mąciła wiecznej szczęśliwości i zasłużonej kary. Niech Bóg uczyni to w swoim imperium, tutaj — my się z tym załatwimy.

Marceli Tarnawa

Życie w podziemiach frontu

(Od polskiego korespondenta wojennego)

W marcu, na linii.

Wzgórze jest przewiercone tunelem. Wejście przysadziste, forteczne, między dwie fałdy w terenie schowane, stanowi jakby podparcie stromego stoku. Mieści się na poziomie podstawy garbu terenowego. Korytarze i magazyny we wnętrzu bywają na tym samym poziomie, co wejście, a jednak chroni je w każdym punkcie kilkopiętrowa warstwa ziemi, nie licząc betonowego płaszcza, którego odporność na działanie artylerii i lotnictwa jest znana.

Owionął nas od razu świeży, ale sztuczny przewiew, o temperaturze cieplejszej, niż na dworze. Ogarnęła nas inna jeszcze sztuczność: rozproszone blaski elektrycznego światła. Dzień i noc nie posiada tutaj żadnego zastosowania. Program doby układa się bez względu na obyczaje rana, południa czy wieczoru. Ogromna kolorowa tablica z podziałem służb objaśnia nas o tym bardzo dokładnie. Różna jest gęstość tych pasków kolorowych w podziałkach, w zależności od tego, czy się doba dla poszczególnego typu wart dzieli na osiem, czy cztery części, ale zasada jest jedna: bez względu na rodzaj zajęcia, każdy członek załogi ma co trzy doby pełne 24 godziny wypoczynku. Ten sam podział i ta sama zasada obowiązuje zarówno w czasie spokoju na linii, jak w czasie boju. Służba w forcie, ze względu na swoją podziemność, uważana jest za służbę ciężką, ludzie na przykład potrzebują tu więcej snu, niż inni, nie każdy poza tym nerwowo wytrzymuje to swego rodzaju odcięcie od świata, jakim w mniejszym lub większym stopniu jest zejście w podziemną twierdzę. W mniejszym lub większym stopniu, bo dowódcy, znając te szczególne okoliczności życia pod ziemią, starają się, aby każdy żołnierz przynajmniej raz na dzień zażył świeżego powietrza pod takim czy innym pretekstem obowiązków poza obrębem fortu.

Szyny kolejki fortecznej towarzyszą naszemu pochodowi w głąb od samego wejścia. Obrazki i zdjęcia tego „metra" linii Maginot, niejednemu zapewne nasuną wyobrażenie o nieprzerwanym nad granicą różańcu fortów, które wszystkie połączone są ze sobą podziemną koleją, tak, że można od Renu aż nad granicę Luksemburga przejechać się bez wysiadania. Otóż nic podobnego. Fortece są różnych kalibrów, różnie porozmieszczane w strefie przygranicznej, wszystkie podziemne, tyle, że wieże strzelnicze doskonale ukryte w czubach wzgórz, mówią wtajemniczonym o ich obecności. W zależności od terenu jedna podziemna twierdza posiadać może kilka podobnych schronów pod samą powierzchnią. Z nich wysunąć się mogą wyloty luf armatnich, albo pod stalową kopułą nakrywy czekają niby podwójne żądła dwie sprzężone ze sobą lufy karabinów maszynowych, plus oko armatki przeciwpancernej. Te poszczególne komory strzelnicze i obserwacyjne, wyniesione nad magazyny i koszary, schowane głęboko pod ziemią, są niczym jakieś ogromne i groźne peryskopy, połączone ze sobą u dna systemem tuneli. Tunelami dopływa amunicja, tunelami podróżuje załoga.

Aby dopływom tym i podróżom zapewnić szybkość na odległościach dochodzących nieraz do siedmiu kilometrów w obrębie jednej twierdzy, wyposażono tunele w szyny i pociągi. Zatrzymaliśmy się właśnie przy wagonikach, wyglądają jak te, które znamy z górskich kolejek w Luna Parku. Pociąg z elektrycznym napędem, niczym tramwaj, prąd bierze z drutu nad nami. Z wyciem, zgrzytaniem i gwizdem ruszamy. Migają monotonne światełka na różnych odległościach, błyskają sygnały, tunel pełen jest huku i hałasu, z naprzeciwka jedzie dwóch żołnierzy na rowerze. Zatrzymują się, zsiadają i pozwalają się minąć pociągowi. Rowery są zastępczym środkiem lokomocji załogi, pociągi bowiem w normalnym życiu fortu odchodzą o wyznaczonych godzinach i kto się spóźni, albo śpieszy do wyjścia, lepiej niech jedzie rowerem. Mijamy stacje z szeregiem dodatkowych torów, na których można manewrować, wymijać, z bocznicami, gdzie stoją zapasowe wagoniki. Tunel sam przypomina prawie miniaturowe metro paryskie, coraz to człowiek patrzy po ścianach i czeka aż mu mignie Du Bo, Du Bon, Dubonnet.

Ale reklama handlowa nie ma dostępu do wnętrza fortu. Za to prywatnej inicjatywie i zamiłowaniom na kwaterach nie stawia się ograniczeń. Toteż forteczne pomieszczenia koszarowe pełne są walizek, tornistrów i tych manierek, torb i manierek, które należą do sylwetki francuskiego „Poilu". Na ścianach trafia się bogata kolekcja zdjęć gwiazd filmowych i wedet z music' hallów, możliwie w żadnym sensie nie cenzurowanych.

Z oglądania jednych zdjęć przechodzimy tuż obok na inne. Oto panorama krajobrazu widzianego ze stanowiska obserwacyjnego jednej z grup artylerii fortecznej. Naniesiony na nią szkic terenowy z numeracją każdego poszczególnego obiektu, nawet drzew, nawet kęp. Obserwator, mający ten sam szkic przed sobą, może tu na dół do posterunku dowództwa artylerii podać cele z dokładnością na metry kwadratowe. Oglądamy rozłożone na stole atlasy, barwne powiększenia poszczególnych wycinków terenu z naznaczonymi na nich możliwościami pokrycia ogniowego. Każde możliwe zadanie artylerii na tym obszarze opracowane jest już na przód, w postaci gotowych rozkazów ogniowych, które w zależności od zgłoszonej przez obserwatora sytuacji zdecyduje pracujący tu dowódca. Od ukazania się celów na obszarach, objętych tymi mapami, — poprzez przekazanie sytuacji dowództwu, a z dowództwa danych ogniowych na schron z działami — do rozpoczęcia skutecznego ognia, mija dwie, najwyżej trzy minuty.

Na poszczególnych pozycjach zajęli miejsca już nie żołnierze, ale wyspecjalizowani technicy. Opowiadają mi fakt taki: obserwator, znajdujący się blisko granicy wykrył gniazdo nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego. Odległość od najbliższej pancernej wieży dział fortecznych wynosiła 9.000 metrów. Oddano 12 strzałów i karabin nieprzyjacielski przestał istnieć. Na 5.000 metrów artyleria 25 pociskami zniszczyła 4 tanki nieprzyjacielskie, a piąty zawrócił sam. Objaśniają ci specjaliści, na czym polega nowa rola artylerii na linii Maginot. Że mianowicie przewidziano dla niej poza wszystkimi innymi zadaniami także obowiązek wzięcia nieprzyjaciela w ognie boczne, flakujące. Z tym też wyrachowaniem taktycznym dobierano stanowiska dział. Gdyby więc nawet nieprzyjaciel przeszedł w którymś miejscu ruchomą zaporą ogniową, tę kurtynę morderczej stali, która współdziałaniem wszystkich źródeł ognia przygotowana jest na jego przyjęcie, powodzenie jego zostanie natychmiast zlokalizowane nie tylko bocznymi ogniami broni automatycznej, ale także stanowisk artyleryjskich, biorących go „we dwa kije". W tych warunkach nie ostoi się żaden szturm.

Każda twierdza na wypadek boju przygotowana jest na zupełną samodzielność. Powiadają: jak krążownik na morzu. Elektryczności dostarczą własne dynamomaszyny, zapasy amunicji i żywności przygotowane są z wyrachowaniem na ewentualność odcięcia fortecznych podziemi od reszty świata przez okres całych miesięcy. Lekarze posiadają zapas pigułek przeciwszkorbutowych. Tymczasem oczywiście wobec niedojścia wojny aż na pasmo tej linii, zapasów nikt nie rusza. Tylko porządek doby i służb jest taki sam, jak będzie w czasie akcji. Trzy posiłki: o jedenastej, o czternastej i dwudziestej drugiej. Pamiętamy przecież, że podział na dzień i noc nie istnieje tu, w warownym wnętrzu ziemi.

Dowódca nazywa jadalnię forteczną — „lokalem odprężenia". Wesoło tu i już nie gwarno wcale, ale wręcz wrzaskliwie. Biesiadnicy jeszcze przed pierwszym daniem śpiewają chórem piosenki, których takt wybija się nożami na stole. Jakby nie dość było tego akompaniamentu, w ruch idą szklanki. Rozmowie trudno się rozwinąć w takich warunkach. Ale w czasie wielkiej, kończącej jedzenie ofensywy na skórki od pomarańczy, chwytam półuchem fragment toczącej się przy stole próby wywołania dyskusji. To pytanie mianowicie, które ludziom z pewną wyobraźnią dałoby ciekawy punkt wyjścia do studium historycznego:

Coby powiedział Napoleon, gdyby mu teraz nagle pokazać linię Maginot?

Aleksander Janta

Tydzień na morzu

Ostatnie tygodnie walki na morzu charakteryzują się ciekawą zmianą taktyki w wojnie pirackiej, przeprowadzanej przez Rzeszę z całą bezwzględnością. Obok łodzi i okrętów podwodnych, obok min zwykłych i magnetycznych użyto do zwalczania statków handlowych, statków - latarń, patrolowców, a nawet kutrów rybackich — lotnictwa bombardującego i myśliwskiego. Bezbronne i do czasu bezradne parowce, cysterny, kutry i szalupy stawały się łatwą ofiarą bomb lotniczych, załogi zaś narażone były na ogień karabinów maszynowych.

Akcja ta przyniosła Niemcom minimalne rezultaty i nie zdołała ani na chwilę zahamować ruchu konwojów czy nawet pojedyńczych statków sprzymierzonych. Nie pomogły drakońskie sposoby używane w tej walce, ostrzeliwanie tonących i ratujących się w szalupach, bombardowanie statków pasażerskich pełnych kobiet i dzieci, palenie kutrów rybackich. W stosunku do strat rezultat był proporcjonalnie żaden. Zginęło bowiem według danych podawanych przez prasę, na skutek akcji powietrznej 7 kutrów, 2 statki pasażerskie, 2 statki cysterny i 4 statki towarowe. Inne statki na skutek drobniejszych uszkodzeń schroniły się do portów. Tymczasem lotnictwo niemieckie w tej akcji straciło 5 wielkich bombowców, których strącenie zostało urzędowo stwierdzone, a w rzeczywistości znacznie więcej, jeśli się weźmie pod uwagę, że wiele samolotów zostało poważnie uszkodzonych i na pewno nie zdołało powrócić do swych baz.

Fakty te dowiodły raz jeszcze, że we współczesnej wojnie morskiej przeciwników tak potężnych, jak połączone floty sprzymierzonych tylko na chwilę może wykoleić broń tak doskonała, jak... zaskoczenie. Przy środkach, którymi sprzymierzeni dysponują nie ma takiego „wynalazku", na który natychmiast nie znalazłaby się taka czy inna odpowiedź, na który nie można by przygotować środka unieszkodliwiającego.

Tak przeciw łodziom podwodnym używa się nie tylko granatów głębinowych i sieci — lecz udaremnia się ich pracę piracką przez organizowanie karawan statków handlowych konwojowanych przez okręty wojenne. Dotychczas w obecnej wojnie ani jeden statek nie zginął od torpedy w konwoju. Tak przeciw minom magnetycznym wynaleziono sposoby skuteczne, że początkowo dość poważne straty koalicjantów ostatnio zostały zmniejszone do minimum, tak wreszcie przeciw piratom wodno - powietrznym organizowane jest powszechne uzbrojenie statków handlowych w broń przeciwlotniczą oraz wysyłane są patrole samolotów myśliwskich ponad szlaki zagrożone.

Akcja floty wojennej sprzymierzonych w ostatnich tygodniach nie polegała jednak tylko na obronie biernej i obronie statków handlowych. Flota brytyjska zajęła posterunek na Oceanie Lodowatym u wrót do Murmańska i Petsamo, zatopiono kilkanaście łodzi podwodnych niemieckich (ilość okrętów podwodnych niemieckich pogrążonych na zawsze w Oceanie sięga cyfry 54), oraz zatrzymano, względnie sprowokowano do samobójstwa kilkanaście statków handlowych niemieckich. Również przeprowadza się jak najściślejszą kontrolę statków neutralnych dzięki rewizjom i obserwacji, a blokada Niemiec od strony morza jest absolutną rzeczywistością, o czym dokładnie przekonali się między innymi i Włosi, których węgiel sprowadzany z Niemiec drogą morską nie dostarł do Italii. 19 statków włoskich wiozących węgiel zostało już zatrzymanych przez nieustanne patrole brytyjskie.

Jak widzimy bezwzględne władanie morzami świata ani na chwilę nie wymknęło się z rąk sprzymierzonych. Blokadą morska Rzeszy przeprowadzana jest z pełnym powodzeniem, a wszelkie środki zwalczania jej użyte przez Niemców okazały się bezskuteczne. Również bezskuteczne jak rewanżowa blokada Anglii i Francji, którą usiłują przeprowadzić Niemcy w powietrzu, na morzu i pod wodą. Handel morski i transport morski sprzymierzonych nie ustał ani na chwilę ,a w jak swobodny sposób mogą ich statki poruszać się po oceanach świadczą ostatnie fakty pomyślnych transportów wojsk nowozelandzkich i australijskich do Egiptu, wojsk kanadyjskich do Anglii i wspaniała podróż do New Yorku nowego 80.000 tonowego olbrzyma angielskiego „Queen Elizabeth".

„Polska Walcząca" przynosić będzie w każdym numerze syntetyczny przegląd tego, co się dzieje na morzu w ciągu tygodnia, starając się dawać oświetlenie najciekawszych i nabardziej charakterystycznych faktów. *Bohdan Pawłowicz*

Redakcja „Polski Walczącej" prosi o nadsyłanie materiałów literackich, rysunkowych i fotograficznych.



SZKOŁA PODCHORĄŻYCH PIECHOTY

Od połowy września 1939 r. pierwszy polski obóz wojskowy, tętni życiem. W warunkach nad wyraz złych, odbywają się ćwiczenia najnowszą bronią. Początkowo przeważają oficerowie rezerwy-emigranci, później zawodowi. Szeregowi od samego początku przeważają na korzyść — emigrantów.

Z cenzusowców wybranych w pierwszym obozie (sami ochotnicy), tworzy się obóz drugi — to „podchorążówka" — przyszli polscy oficerowie. Przeważają znów emigranci ,chociaż nie brakuje ludzi zdolnych i wartościowych z Kraju. Przez pięć miesięcy, od rana do wieczora, często w nocy, ćwiczą, uczą się, hartują.

W sobotę 9 marca 1940 r. odbyło się uroczyste zakończenie *„Pierwszej Szkoły Podchorążych Piechoty"* Armii Polskiej we Francji.

W miejscowym kościele uroczysta msza z pięknym kazaniem i błogosławieństwem, potem — przysięga. Pierwsza *Przysięga* pierwszych polskich podchorążych nowej polskiej Armii — na wierną służbę Polsce i ostateczną walkę z okupantami. Cudowny i wzruszający był widok, gdy kapelan wojskowy wzniósł wysoko w górę krzyż, a kilkuset podchorążych, jedną ręką trzymając karabin a drugiej, dwa palce wysoko podniesione — chórem powtarzało słowa przysięgi:

„—...dla Ciebie Polsko, dla Ciebie Narodzie, do ostatniej kropli krwi, wierności dochowam, placu nieprzyjacielowi dotrzymam, — tak mi Panie Boże dopomóż!..."

Stałem opodal zasłuchany. Na myśl przyszła mi okupowana Polska: miliony polskich obywateli — inteligencji, włościan i robotników cierpiących pod barbarzyńską okupacją, ciemiężona ludność cywilna, żołnierze w więzieniach i obozach, — wszyscy oni wołają pomocy, wszyscy oni radośnie witają każdy wysiłek zdążający do stworzenia siły, mogącej wywalczyć Niepodległość. W sile Armii widzą odradzającą się wolną Polskę !

Podchorążowie wszystkich wyznań składają — przysięgę. Dowódca wywołuje prymusa. Widziałem zakłopotanie — toć tak wielu, bardzo wielu, na to wyróżnienie zasłużyło — lecz może być tylko jeden.

Prężą się szeregi: ostatni apel i życzenia dowódców, ostatnie w podchorążówce nominacje, defilada, i okrzyki na cześć cierpiących w niewoli, na cześć walczących z okupantami, na cześć idących walczyć za „naszą i waszą wolność" — i serdeczne, szczere pozdrowienie Wodza Naczelnego.

Patrząc na to nasze polskie, odradzające się wojsko, gdzieś z oddali dostrzegłem tak bliską i znaną mi z dawnych bojów — twarz Wodza Naczelnego, generała Sikorskiego, liczącego każdy, nawet drobny wysiłek Narodu, — ku odrodzeniu. A trudności, pokonane przez oficerów i podchorążych, ich obecną przydatność wojskową, niewątpliwie będzie liczył, jako wielką pozycję o specjalnie cennej wartości.

Maszerują. Idą długą kolumną, kompaniami. Młodzi pospołu ze starszymi, ramię przy ramieniu — równo. W oczach radość i chęć walki.

Poznaję znajomych: to nasi emigranci. Wielu z nich zapisywałem jako ochotników w pamiętne dni września. Pamiętam, jak porzucili pracę, zajęcia dobrze opłacane, jak niepomni na pozostałą rodzinę, śpieszyli, byle tylko zdążyć Polsce z pomocą.

Dziś, po ukończeniu podchorążówki — maszerują. Po defiladzie przychodzą, by jak dawniej, serdecznie się przywitać i węzły braterskie zacieśnić.

Wieczorem tegoż dnia odbyła się wspólna pożegnalna kolacja. Piękna duża sala - ledwie pomieściła wszystkich. Przemówienia, życzenia, śpiewy, żarty i — obfite zakąski. Atmosfera nad wyraz miła, iście rycerska.

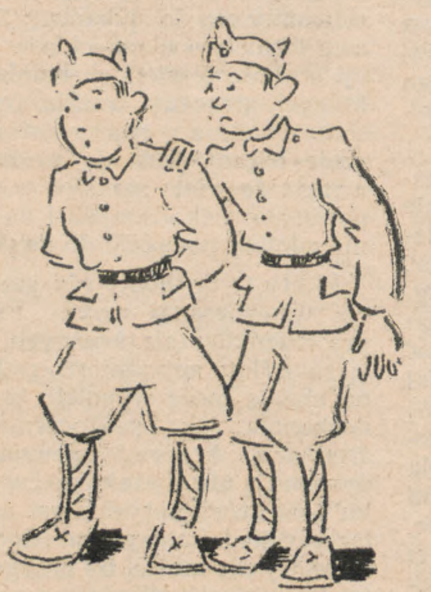
Ponad wszystkim góruje stara bojowa pieśń podchorążych: *„Warszawianka"*.

W obozach powstaje, tworzy się Armia Polska. Tam rodzi się wola zbrojnej walki, wola pokonania nieprzyjaciół, wola przyniesienia wolności uciemiężonym w niewoli — braciom.

„Hej! kto Polak na bagnety,
Żyj swobodo, Polsko, żyj!..."

Panie Generale i Wodzu Naczelny ! Melduję, pozwól, głośno myślę; pragnę zostawić „papierki" — pójdę do szeregów, na dolę i niedolę, na radości i trudy, może po nową, już piątą gwiazdkę „za rany" a już szczęśliwy będę, jeśli obecność moja w szeregach, choć w części przyczyni się do zwycięstwa. Z nowymi podchorążymi pójdę — nowym, kochanym podchorążym — Cześć !

Jerzy Wojnar





Wiosna wśród baraków

Już wiosna przyszła. Czuć ją wszędzie. Na ulicach, w lesie, w polu. Słońce podłużnymi smugami promieni głaszcze drzewa i zagląda do okien koszarowych. Słowiki zaczynają śpiewać wieczorem... I rośnie w sercu, rozpiera się w piersiach jakaś radosna nadzieja, czegoś, co idzie, co przyjść musi, na co czeka miliony ludzi.

Zarumieniły się od słońca zahartowane twarze naszych żołnierzy. Idą ulicami obozu i śpiewają piosenki wyrwane z piersi, a echo unosi je daleko:

„Na francuskiej wolnej ziemi
wojsko polskie mamy,
i przez Berlin do Warszawy
wkrótce wyruszamy".

„Marsz, marsz, Polonia,
marsz dzielny narodzie,
odpoczniemy po swej pracy
w ojczystej zagrodzie".

Równo wymierzone kroki wybijają nieugięcie rytm bojowej piosenki. Migocą w słońcu karabiny. Prężą się postacie.

Otrząsnęły się żołnierskie serca z zimowego przygnębienia. Wiosna zajrzała im do duszy głęboko. Przywróciła im wiarę we własne siły. Nawet nie spostrzegli się, jak stali się pełnowartościowymi żołnierzami. W ciągu paru miesięcy zmienili się z cywilów w stu-procentowych żołnierzy. Kiedy idą, śmiałość wygląda im z twarzy, a z oczu bije otucha. „Jeszcze Polska nie zginęła i nigdy nie zginie" . . .

Na rozległych polach ćwiczeń ruch nieopisany. Posuwają się, niby ogromne potwory, ciężkie czołgi — i warczą niemiłosiernie. Za czołgami suną długimi rzędami strzelcy. Nad głowami, pod jasnym niebem, unoszą się samoloty. A stukot karabinów maszynowych nie milknie ani na chwilę.

Tam na wzgórzu, artyleria odbywa swoje ćwiczenia; tu, pod lasem, koło strzelnicy, piechota pokazuje swoje sztuki i przy pomocy C. K. M-ów ćwiczy „obronę" i przeprowadza „natarcie". Po pustych drogach posuwają się wozy „taborytów" i ćwiczących panceników. Nieprzerwany łoskot, niby pieśń wyzwolonej wiosny, ożywia cały ten teren w dzień i w nocy. Bo i do nocnej trzeba przygotować się walki i umieć prowadzić ją zwycięsko.

Od dalekich budynków płyną melodie nadawane z „wozu radiowego". Skoczny rytm polki, miesza się z „brunetkami i blondynkami" — Kiepury. W tych odrapanych wozach cząstka beztroskiej wolności tu zawitała. Cieszą się nasi żołnierze z tych melodyj i dyskutują zawzięcie:

— Fajnie śpiwo. Mo tyż tyn piernik elegancki głos — mówi jeden.

— O, jo ta wole słuchać oberka — mówi drugi — przynejmniej się człowiekowi hulać chce.

— Patrzcie, on chce hulać, kiedy wczoraj 50 kilometrów marszu podróżnego zrobił.

— I byś widzioł, jakbym wiwijoł. Jeszczeby niejednej dziewusze w głowie sie zawróciło.

— Antek! przebrzydły karlusie, nie słyszysz, że gwizdek na zbiórkę.

— Bogać tam zapomniołym, tako ta muzyczka fajno, jak u nos, w Polsce.

— Jak pójdziesz do Polski, to sobie kupisz gramofon i będziesz groł.

— I jeszcze jak.

Słońce przygrzewa coraz gorącej. Lekki wiatr południowy głaszcze pieszczotliwie drzewa. Żołnierze chodzą ulicami i z twarzą rozpromienioną mówią:

— Wiosna przyszła.

Wiosna, taka sama, jak u nas. Rozkwitających pąków zapachem przepełniona, uwieńczona skowronczym świegotem, jasna, krasna, malowana. Ale jakże obca, jakże niepojęcie daleka, jakże tragicznie bolesna. Jadą chopcy na rowerach i rozprzedają dzienniki. Na pierwszych stronach francuskich i polskich pism, niby pieśnią bólu i żałoby, wołają tytuły:

„Przerażające wieści z Polski — wołające o pomstę do Boga".

„Masakra patriotów polskich w Wawrze".

„Rozstrzelanie 72 Polaków w Bochni".

„La Pologne qui souffre".

„Pologne malheureuse".

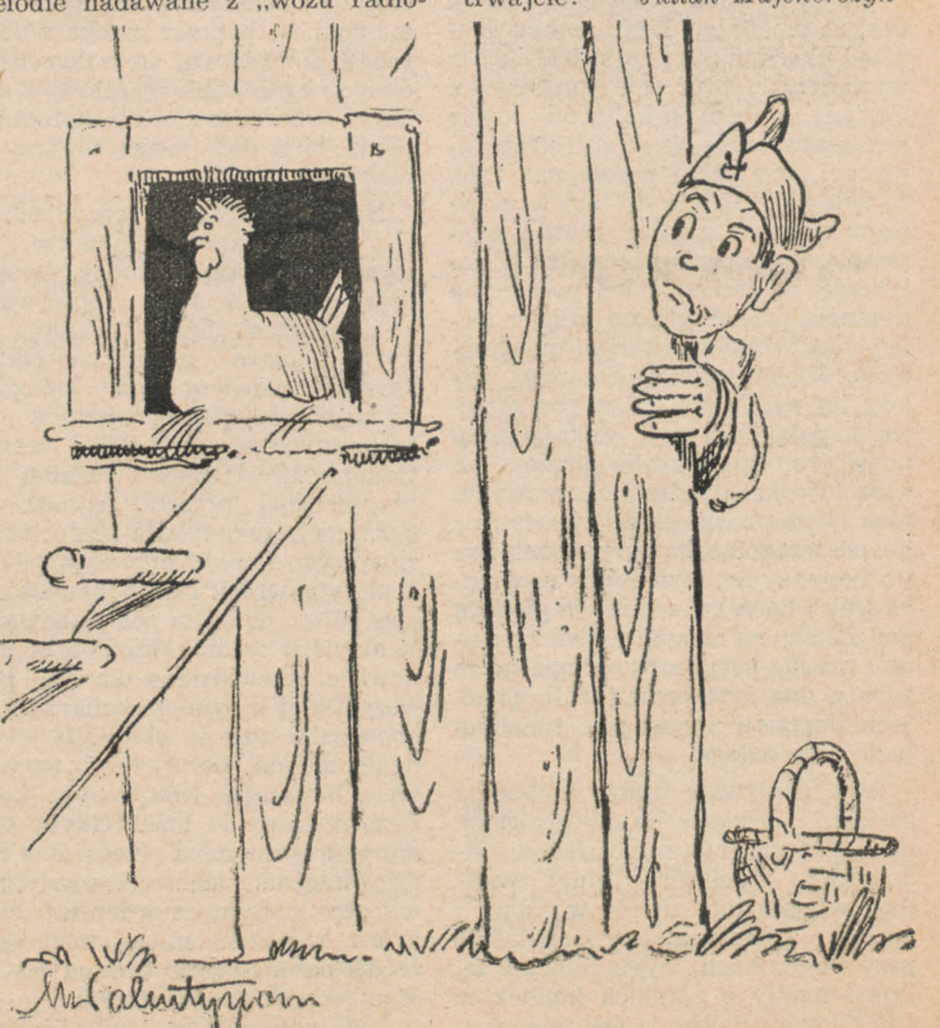
Żołnierze kupują pisma. Czytają. A w miarę czytania zanika z twarzy uśmiech, tężeją lica, w oczach błyskają ognie przytłumionego gniewu.

— Zapłacimy im za to. Zapłacimy stokrotnie — mówią do siebie.

— Już wiosna nadchodzi.

A wiosna bretońska idzie zwolna przez lasy i pola i niesie naszej umęczonej Ojczyźnie wiew: Wytrwajcie!

Julian Majcherczyk



Marian Walentynowicz: Oczekiwanie na święcone. (B.I. 5244)

Uczymy się strzelać

Fotografował *Tadeusz Wysocki*



Przed stanowiskiem (B.I. 5245)



Oko na muszce (B.I. 5248)



Strzelanie do celu (B.I. 5246)



Rząd celów (B.I. 5247)



Przy ognisku w czasie strzelania (B.I. 5249)



Przegląd broni po strzelaniu (B.I. 5250)

Związek Kupców i Rzemieślników na F.O.N.

Dowiadujemy się, iż Rada Naczelna Związku Kupców i Rzemieślników Polskich powzięła uchwałę, na mocy której wszyscy członkowie organizacji są zobowiązani do płacenia miesięcznej daniny na F. O. N.

Obowiązujący podatek na F. O. N. obliczać się będzie w wysokości 1 proc. od ogólnej sumy miesięcznego obrotu przedsiębiorstwa.

Obowiązek płacenia podatku narodowego dotyczy wszystkich kupców i rzemieślników polskich w okresie trwania wojny.

Deklaracje w sprawie dobrowolnego opodatkowania się na F. O. N. należy przesyłać na adres: **Zarząd Główny Związku Kupców i Rzemieślników Polskich, — 24, rue de la Gare, 24 — Lens (P. de C.).**

Po otrzymaniu deklaracji zainteresowani kupcy i rzemieślnicy otrzymają specjalne dokumenty stwierdzające fakt dobrowolnego opodatkowania się na F. O. N.

Dokumenty te należy umieszczać w oknach wystawowych przedsiębiorstw handlowych i rzemieślniczych.

Podkreślając doniosłość uchwały Związku Kupców i Rzemieślników, która po wprowadzeniu w życie przyczyni się niewątpliwie do pomnożenia funduszów na rzecz Armii Polskiej we Francji wzywamy wszystkich naszych Czytelników i Przyjaciół do poparcia tych zakładów przemysłowo - handlowych, w których oknach wystawowych znajdować się będą dyplomy stwierdzające fakt, iż ich właściciele opłacają miesięczny podatek narodowy na cele Armii Polskiej we Francji.

Od Administracji

Komunikujemy, iż z dniem 1 kwietnia będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę „Polski Walczącej" tym wszystkim prenumeratorom, którzy w terminie określonym nie uregulowali należności za prenumeratę. Prenumeratę można wpłacać za pośrednictwem wszystkich urzędów pocztowych we Francji umieszczając na zwykłym przekazie pieniężnym następujący adres:
C/C Nr. 1401-65 Bank Polska Kasa Opieki 23, rue Taitbout — Paris (9-e)

Na odwrocie przekazu pieniężnego prosimy zaznaczyć: „POLSKA WALCZĄCA", w razie potrzeby dać wyjaśnienie szczegółowe.

PUNKTY SPRZEDAŻY „POLSKI WALCZĄCEJ"

Lokale wszystkich Miejscowych Komitetów Obywatelskich we Francji.

Świetlice wszystkich obozów wojsk polskich.

Paryż: Kiosk w Hotelu „Regina" 2, place des Pyramides i Księgarnia Polska, 123, boul. St. Germain.

Lens: Biuro tłumaczeń p. Grali i Hotel Polski p. Pietrusiaka.

Cena 1 egz. „Polski Walczącej" w świetlicach żołnierskich wynosi **0,25 fr.**, a w pozostałych punktach sprzedaży — **1 fr.**

Dochód z rozprzedaży pisma w świetlicach obozowych jest przeznaczony na cele kulturalno - oświatowe oddziałów.

Z POLSKI

POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ

W okupacji niemieckiej nieustaje ucisk i wysiedlanie Polaków z ich siedzib. Coraz większe grupy wysiedlonych osiadają na terenie gubernatorstwa, w którym zwłaszcza w Warszawie i miastach panuje przeludnienie.

Środki żywności są coraz droższe a nędza, w związku z małymi zarobkami coraz większa. Ceny od lutego znowu poszły w górę, masło dochodzi do 16 zł., chleb, zależnie od gatunku od 1.20 — 2 zł. Są wprawdzie kartki, za którymi otrzymuje się żywność taniej, po cenach przedwojennych, ale wydawanie tej żywności nie jest regularne. Para dobrych butów kosztuje 180 zł. — ubranie 500 zł. Ceny w zestawieniu z zarobkami robotniczymi (około 5 — 7 zł. dziennie) i inteligenckimi (od 150 do 250 zł. miesięcznie) dają obraz ogólnej biedy — nie mówiąc już o tym, iż ogromna większość ludności stałych zarobków nie ma i żyje bądź z wyprzedawania resztek, bądź z drobnego handlu, którego chwytają się wszyscy. Zarobki w Polsce Zachodniej są jeszcze mniejsze, zachowana jest tu skala przedwojenna, a zatem nędza tu jest jeszcze dotkliwsza, tym więcej, że wielu produktów w handlu *dla Polaków* nie ma.

Niemcy ponowili gorączkowe poszukiwania osób, które zgodziłyby się podjąć rządów, oczywiście pod całkowitą kontrolą niemiecką, w t. zw. gubernatorstwie. Cały szereg osób z polskich sfer zachowawczych jak m.in. b. regent ks. Lubomirski kategorycznie Niemcom współpracy odmówili, mimo że słusznie muszą się obawiać losu, jaki spotkał ś. p. profesora Estreichera.

Sprawy polskie były niewątpliwie przedmiotem rozmowy Ojca Świętego z Ribbentropem. W kołach watykańskich utrzymuje się wersja, że Papież po to tylko przyjął Ribbentropa„aby mu wyrazić osobiście swój pogląd na okrucieństwa Niemców wobec katolików i osób innych wyznań w Polsce. Postawienie sprawy przez Papieża było podobno tego rodzaju, iż Minister Spraw Zagranicznych Rzeszy z wrażenia zasłabł i musiał dłuższy czas odpocząć przed audiencją u Kardynała Sekretarza Stanu. Niewątpliwie też sprawy męczeństwa Polski były przedmiotem wymiany myśli pomiędzy Sumner Wellesem, delegatem Prezydenta Stanów Zjednoczonych a premierem gen. Sikorskim i ministrem Zaleskim podczas bytności jego u polskich mężów Stanu.

Najbardziej istotną wiadomością z ubiegłego tygodnia, która niewątpliwie wywarła duże znaczenie w Polsce, jest fakt przelotu angielskich samolotów wojskowych nad Poznaniem. Samoloty zrzuciły odezwy w języku polskim. Lot ten powinien był dodać otuchy nieszczęśliwym naszym braciom, cierpiącym w okrutnej niewoli i oczekującym wybawienia.

Wiadomości szczegółowe są dość szczupłe. W *Warszawie* oblicza się, iż do dn. 2. III. ogółem wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy 133 pociągi z terenu gubernatorstwa. Nakazano stawienie się wszystkim dorożkarzom stolicy ze swymi końmi przed władzami niemieckimi. Większość koni skonfiskowano. Według obliczeń niemieckich z Krakowa w Warszawie jest obecnie 500 tys. osób bez dachu nad głową.

W *Polsce Zachodniej* wydano zakaz zawierania małżeństw pomiędzy Polakami. Gabinet Rzeszy upoważnił ministra Rolnictwa do otwierania w Poznańskim i na Pomorzu kas kredytowych dla rolnictwa (oczywiście niemieckiego). Zdarzają się wypadki wysyłania (z Inowrocławia) transportów dzieci od 6 — 16 lat rzekomo na wypoczynek do Niemiec. Wyraża się obawy, że chodzi tu o germanizację dzieci. Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu przerobili Niemcy na muzeum mające wykazać „odwieczną” niemieckość Poznańskiego.

Z terenu gubernatorstwa donoszą, że Niemcy podkreślają „zasługi” dla kultury i cywilizacji osławionej sekty mariawitów. Zapowiadają poparcie tej sekty przez władze okupacyjne. Gubernator radomski wygłosił przemówienie, w którym podaje zarys organizacji administracji w t. zw. „gubernatorstwie”. Mówił on, iż rzekomo wielu dawnych urzędników polskich zatrudnia się na poczcie, w kolejnictwie i w policji.

POD OKUPACJĄ SOWIECKĄ

Scharakteryzowane w numerze poprzednim położenie nie uległo zmianom. Przygotowania do wyborów w pełni. „Walka wyborcza” oczywiście nie ma miejsca, bo wybory odbędą się tylko na jedną listę i „na rozkaz”.

Całe społeczeństwo Polski wschodniej i południowo-wschodniej odnosi się najzupełniej negatywnie do komunizmu i bolszewików. Wyjątek stanowi pewna liczba mętów społecznych, które zostały wyciągnięte na czołowe stanowiska w Sowietach wioskowych i małomiasteczkowych, oraz pewna liczba najbiedniejszego proletariatu żydowskiego. Ukraińcy, zarówno chłopi, jak robotnicy i inteligencja, są w ostrej opozycji przeciw bolszewikom i nawet w niektórych miejscowościach, organizują przeciw nim opór zbrojny. Sympatie pomiędzy Polakami a Ukraińcami wzrastają, daje się odczuwać wzajemne zapomnienie uraz i powstawanie warunków do trwałego porozumienia. Białorusini, którzy w początku okupacji, stosunkowo najpozytywniej odnieśli się do rządów sowieckich, rozczarowali się całkowicie i obecnie głośno wypowiadają żal za utraconymi warunkami życia w Polsce przedwojennej. Nawet dawni członkowie partii komunistycznej w Polsce, którzy z natury rzeczy idealizowali sobie Sowiety, dziś znajdują się w zaciętej opozycji i często, ośmieliwszy się na głośniejszą krytykę, zostają przez G.P.U. zsylani w głąb Rosji.

Przedstawiciele władz sowieckich zupełnie nie kryją się z tym, iż istotnym ich celem w Polsce jest całkowite sproletaryzowanie ludności, sprowadzenie jej do poziomu takiego jak ludności rosyjskiej, a co za tym idzie odebranie sił do jakiejkolwiek krytyki czy oporu.

Jeńcy polscy stwierdzają, że położenie materialne ludności bolszewickiej jest jeszcze stokroć gorsze, niż obecne położenie ludności w okupowanej Polsce. Brud, brak odzieży i ciemnota są tam takie, iż człowiek z zachodu Europy wyobrazić sobie tego nie może. Przytem stosunki te ludzie uważają za najzupełniej normalne i nie chcą wierzyć, że gdzie indziej może być lepiej. Uważają, że na Zachodzie jedynie „burżuje” mają te rzeczy, które tu są traktowane jako zupełnie niezbędne do życia, a proletariusz także w nędzy i brudzie jeszcze stokroć straszniejszym, niż w Rosji. Młodzież wierzy tam święcie we wszystko, co „partia” do wierzenia podaje, a starsi niemal już zapomnieli, że mogło być kiedyś inaczej.

Dużym wstrząsem dla bolszewików były stosunki, jakie zobaczyli w Polsce, w Łotwie, Estonii i na Litwie. To też wojska, które były wysłane do tych krajów zachwiały się poważnie w swych komunistycznych poglądach. Nawet tak skąind skromne stosunki gospodarcze jakie panowały w Polsce wschodniej, wydały się wojskowym sowieckim „krainą z bajki” — a wszyscy nasi proletariusze „panami” i „burżujami”. Ten promyk światła niewątpliwie będzie miał znaczenie i mimo prymitywności i ciężkości umysłu rosyjskiego, będzie początkiem groźnej dla bolszewizmu ewolucji pojęć w armii czerwonej.

Wiadomości z Polski zajętej przez bolszewików, jakie nadeszły do Paryża w ciągu ostatnich dni również nie są obfite. Ze *Lwowa* nadeszła wiadomość, że władze sowieckie rozpoczęły wydawanie paszportów, które podobno ludność przyjmuje „z dużym zadowoleniem”.

Według źródeł francuskich, liczba polskich wywiezionych na Syberię księży wynosi ponad 3,600. Wywożeni są również „bezrobotni”, w tej liczbie oczywiście dużo inteligencji.

Na Wołyniu we wsi Pieczałówka założono pierwszy kołhoz, do którego włączono 50 gospodarstw chłopskich z 700 ha gruntu.

Wojsko sowieckie, przy współudziale Niemców pracuje intensywnie nad rozszerzeniem i pogłębieniem kanału łączącego Dniepr z Wisłą (przez Bug). Kanał ten ma służyć przewozowi nafty z Baku do Niemiec.

Jerzy Pomian

SPIS TREŚCI NUMERU

Niniejszy numer „Polski Walczącej” jest podwójnej objętości. Następny numer ukaże się dnia 7-go kwietnia.

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

WARUNKI PRENUMERATY: Francja: cena numeru 1.— fr.; kwartalnie 10.— frs.; półrocznie 18.— frs.; rocznie 35.— frs. — Kraje europejskie: cena numeru 1.50 frs. franc.; kwartalnie 15.— frs. franc.; półrocznie 28.— frs. franc.; rocznie 55.— frs. francuskich. — Ameryka: cena numeru 5 centów; kwartalnie 50 centów; półrocznie 1 dolar; rocznie 2 dolary

Koszty prac drukarskich tygodnika pokrywane są w czwartej części przez Zakłady Drukarskie „Narodowca” — tytułem dobrowolnego podatku na rzecz Wojska Polskiego

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY MIN. SPRAW WOJSKOWYCH I CENTRALNY KOMITET OBYWATELSKI WE FRANCJI

Adres Wydawnictwa i Administracji: 20, rue Faidherbe LILLE (Nord)
Adres Redakcji: Hotel „Regina”, 2, place des Pyramides, Paris I., pokój 247.
W sprawach redakcyjnych przyjmuje się w czwartki, piątki i soboty od godz. 10—12-ej.
Le gérant: Antoni Koziński, Lille.

Imp. Druk. M. Kwiatkowski — „Narodowiec”, Lens (P. de C.) — R. C. Béthune 21.231.